

KAMENIA KAMENIA

LUBLIN

15.11.1962

Nr 3 (241)

ROK XXIX

CENA 2 ZŁ

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

LUBLIN - BIAŁYSTOK - KIELCE - RZESZÓW

NIECH MAJĄ CZAS

SARA
NOMBERG-PRZYTYK

TAK na zdrowy rozum biorąc, głównym zadaniem inspektoratów szkolnych winna być troska o poziom nauczania w szkołach. Chodzi bowiem nie tylko o to, by każdy Jaś miał zapewnioną ławkę szkolną, chodzi również o to, by Jaś wyrósł na Jana dobrze władającego językiem polskim, nie jękającego się przy posługiwaniu się językiem obcym, czułego na krzywdę, nienawidzącego obkuraczeń i sobkostwa. Proces dojrzewania szkoły, szczególnie na wsi, do roli, jaką winna spełniać w społeczeństwie, jest procesem skomplikowanym, trudnym i długotrwałym.

Już w roku 1962 szkoły ogólnokształcące i zawodowe w związku z decentralizacją przechodzą pod nadzór inspektoratów szkolnych. Cały więc proces nauczania, od przedszkola aż do momentu otrzymania świadectwa dojrzałości skupiać się będzie w powiatowych władzach oświatowych.

Jak wygląda nadzór pedagogiczny sprawowany przez inspektoraty szkolne nad szkołami, czy ilość prac administracyjnych wykonywanych przez inspektoraty pozwala im na realną pomoc szkołom? Na te pytania starałam się znaleźć odpowiedź w inspektoracie szkolnym w Opolu. Powiat jak wiele innych, sytuację więc w tym inspektoracie należy uznać za typową w naszym województwie.

WŁADYSŁAW BRONIEWSKI NIE ŻYJE!

Wiedzieliśmy o Jego poważnej chorobie, wiedzieliśmy, że Jego słaby organizm ulegnie w walce z nią, a jednak ludziliśmy się, że przez jakiś czas jeszcze będzie z nami, że wzbogaci nas o kilka serdecznych, prostych i pięknych liryków. I dlatego wieść o Jego zgonie, którą przysłały nam fale radiowe, mimo wszystko nas zaskoczyła. Po Galezyńskim, Tuwimie, Lechoni i Staffie — jeszcze jedna olbrzymia wyrwa w naszej poezji.

Odszedł świetny poeta, od zarania twórczości bojownik o sprawiedliwość społeczną, który strofom potrafił nadać ostrość bagnetu na broni, a jednocześnie czuł liryk, taki subtelny w wierszach miłosnych, taki przejmująco smutny w rozdartym przez ból ojcowski sercu.

Przeczuwał bliską śmierć. W jednym z ostatnich wierszy zwierzył się, że „chciałby umrzeć”, w innym, że jest dębem, z którego opadły wszystkie liście — „ostał się pień nagi”.

Zegnamy w nim szlachetnego i dobrego człowieka. I choć ten „pień” runął, pozostały jego „liście” — kartki pięknej poezji.



Moimi rozmówcami w Opolu byli inspektor szkolny Franciszek Iwańczuk, zastępca inspektora Tadeusz Wojtyś i podinspektor Czesław Gusma.

W powiecie opolskim istnieje 61 szkół podstawowych w tym 47 siedmioklasowych, 2 licea ogólnokształcące, 2 zasadnicze szkoły zawodowe, 1 szkoła

podstawowa dla dorosłych, 2 technika: elektryczna i ekonomiczna w Ponia-towej. Od 1963 roku szkoły podstawowe przechodzą do realizacji 8-klasowej szkoły podstawowej.

Pod nadzorem inspektoratu znajdują się również przedszkola typu wiejskiego, miejskiego i przyzakładowego.

Osobnym rozdziałem pracy inspektoratu jest nadzór nad oświatą dla dorosłych. A więc 17 kursów przygotowujących 250 eksternistów do egzaminów w zakresie szkoły podstawowej, 3 kursy języka rosyjskiego, czytelnictwo indywidualne nauczycieli z by-

(Dokończenie na str. 2)

POKAZ MODY

LESŁAW GNÓT

ZAPADAŁ wczesny, zimowy zmierzch. Szara, gęsta mgła wypełzała na drogę, utrudniając widoczność. Jazda była coraz trudniejsza, nie pomogło nawet zapalenie reflektorów, ich światło rozmazywało się bezradnie na kilkanaście kroków przed maską samochodu. Nie pozostawało nic innego, jak maksymalnie zwolnić szybkość i wytrzeszczać do bólu oczy, wlec się godzinami do dalekiego Lublina.

Wobec takich perspektyw, mając jeszcze w kościach całodienne tłuczenie się po przeróżnych zakazanych dziurach na samym krańcu województwa, zachowywaliśmy ponure milczenie. Jedynie kierowca od czasu do czasu powtarzał półgłosem swe słynne, wielopiętrowe wiązanki.

Monotonie jazdy przerwał niespodziewanie widok człowieka stojącego na skraju zasy i dającego nam jakieś znaki.

— Stań! — spytał kierowca.
— Stań. I tak już ledwo w tej mgle jedliśmy.
Pisnęły zahamowane koła i samochód zatrzymał się tuż przed dającym nam znaki człowiekiem.

Był to młody wysoki mężczyzna w berecie i szarym, nieprzemakalnym płaszczu. W ręku miał starą, mocno wypchaną teczkę. Podbiegł do samochodu i wetknął głowę w uchylone przez kierowcę okno.

— Bardzo przepraszam, czy panowie do Lublina?
— A bę co — burknął mało zachęcającym tonem kierowca.

— Chciałbym prosić o zabranie. Mam pilną sprawę. Kurs wojewódzki. A tu autobus już odszedł.
— Zabrać?... — Kierowca spojrzał na mnie pyta-

jąco. Skinałem głową, niech jedzie.
— Dobra, siadaj pan — stwierdził więc łaskawie — skoro już pana nosi w taką pogodę...

Napięta niepokojem twarz nieznajomego złagodniała w radosnym uśmiechu. Szybko wpakował się na tylne siedzenie i zatrzasnął drzwi samochodu. Ruszyliśmy dalej.

Jakiś czas panował w samochodzie milczenie. Nie chciało mi się mówić. Wciąż jeszcze przeżywałem gorzki dziennikarskiej klęski. Cały dzień jeździć i tak nic, zupełnie nic nie znaleźć... Jednak zawodowa ciekawość zwyciężyła. Zaczęłam z nieznajomym rozmowę.

— Pan z tych stron?
— Tak. Jestem w Gąskach nauczycielem. Jest tam nowa, siedmioklasowa szkoła.

— Jedzie pan do Lublina, jeśli dobrze słyszałem, na jakiś kurs.

— O tak. Na kurs pracy kulturalnej. Specjalnie dla kierowników świetlic i ośrodków wiejskich. W sam raz coś dla mnie!

Dziwna jest natura ludzka. Niewinne stwierdzenie nieznajomego wywołało we mnie falę gniewu i złości.
— Kochany! Nie ma kulturalnej pracy na wsi.

Dzisiaj objechałem cały powiat i nie znalazłem nic. Ani jednego przyzwoitego zespołu teatralnego czy tanecznego, punkty biblioteczne puste, świetlice zaniedbane i brudne!

Nieznajomy przyjął wybuch wyjątkowo spokojnie.

— To pan po linii kultury?
— Po linii, nie po linii. Po prostu chciałem znaleźć jakiś dobry zespół regionalny Podlasia i zrobić o nim reportaż. Tymczasem wszystkie informacje tak zwanych działaczy od kultury okazały się fałszywe. W terenie nie ma nic. Nie ma zespołów, nie ma prawdziwych, mądrych, ofiarnych działaczy.

— Szkoda, że nie trafił pan do nas.
— A co, macie może zespół regionalny?

— Nie, zespołu regionalnego nie mamy. Nie mamy też zespołu dramatycznego. W ogóle działamy inaczej. Gdyby pan, redaktorze, chciał posłuchać...

— Oczywiście. Nie pozostaje nic innego.

A WIĘC — tym razem głos nieznajomego zabrzmiał zupełnie inaczej — historię tę opatrzyłbym tytułem: „Dzieje jednego telewizora”.

Paralela literacka dosyć śmiała, a jednak nie pozbawiona chyba słuszności...

...Kiedy przed dwoma laty stanęła u nas szkoła, radość we wsi była ogromna. Wszyscy rzucili się do pomocy przy jej urządzeniu. Ogródek, boisko, ogródek z inspektami — wszystko to wykonane zostało pracą społeczną. Ale prawdziwą sensacją było ofiarowanie telewizora. Jeden ze starszych mieszkańców wsi otrzymał od syna ze Związku Radzieckiego

(Dokończenie na str. 8)

Nauczyli mnie mądrości
Logarytmów, wzorów i formulek,
Z kwadracików, trójkątów i kółek
Nauczyli mnie nieskończoności.
(J. Tuwim — Nauka)

TRUDNA DECYZJA

ELŻBIETA ROSIAK

MINĘŁO już półrocze i z dnia na dzień nieuchronnie zbliżamy się do końca roku szkolnego. I oto przed siódmymi klasami staje poważny problem: co będzie dalej? To pytanie zadają sobie dzieci, myślą o nim w trosce nauczyciele i — rzecz jasna — rodzice, których marzeniem jest przecież zapewnienie córkom i synom jak najlepszej przyszłości. Problem — „stary jak świat”. Jeśli więc można mówić o jakimś nowym to przede wszystkim o tym, że wspólna troska domu i szkoły o dziecko przybiera obecnie bardzo konkretną i właściwą formę. Władze oświatowe, chociaż zajęte reformą szkolnictwa, pomyślały np. o tych dzieciach, których osmioletni system nauczania nie obejmuje. Stąd też w licznych pismach pedagogicznych coraz częściej pojawia się kalendarzyk informujący, jak należy przygotować młodzież do wyboru zawodu. Rzecz jasna, że wychowawcy dównie modyfikują wysunięte w informatorze zadania, dostosowując je do własnych warunków, mając na uwadze osobowość ucznia.

Ażby właściciel przygotować młodzież do nowych „szkół” przeprowadziłam ankietę w klasie VII, której jestem wychowawczynią.

Pod względem liczebnym przeważają tu chłopcy. Oni to właśnie nadają ton klasie i niekiedy przysparzą poważnych zmartwień wychowawczyni. Ponieważ chciałam, ażeby wypowiedzi w ankiecie były szczerze — zostawiłam swobodę w ich podpisywaniu. Odpowiedzi otrzymałam 28 (od chłopców 19 a od dziewczynek 9).

Do klasy siódmej pierwszy rok uczęszcza 27 osób i jeden repetent. Z jakiego środowiska społecznego pochodzą młodzie? W większości reprezentują oni inteligencję pracującą, mniej więcej taką liczbę stanowi młodzież pochodzenia robotniczego. Nikt nie reprezentuje wsi. Wszyscy uczniowie korzystają ze zdobyczy kulturalnych, jakich dostarcza miasto. Mają dobre rozeznanie wśród typów szkół zawodowych i ogólnokształcących. Do

jakich szkół będą więc kierowali swoje kroki na egzaminy wstępne?

Po obliczeniu wypowiedzi okazało się, że aż osiemiu wybrało się do szkoły ogólnokształcącej (w tym 3 dziewczynki), czworo do mechanicznej, troje do budownictwa i chemicznej (w tym 2 dziewczynki) po dwoje do szkoły fryzjerskiej i stocznioców. Do technikum drogowego, kolejowego, energetycznego, handlowego, pedagogicznego i plastycznego idzie po jednym uczniu.

Uzasadnienie wyboru szkół było różne. W przypadku ogólnokształcących najczęstszy motyw — to chęć kontynuowania nauki. Oto kilka wypowiedzi:

„Po ukończeniu szkoły średniej mam zamiar studiować fizykę jądrową”.

„Po ukończeniu szkoły średniej z zamiłowaniem wybieram się na studia do Wojskowej Akademii Technicznej na dział budowy samolotów i okrętów”.

Niech mają C Z A S

(Dokończenie ze str. 1)

ymi analfabetami i 4 szkoły przysposobienia rolniczego obejmujące 150 uczniów. Liczba szkół PR będzie się stała powiększać. Każdego roku przybędą 2 szkoły przysposobienia rolniczego. Wszystko to podałam po to, by pokazać, ile roboty miałby inspektorat gdyby chciał nadzór pedagogiczny traktować nie tylko od strony formalnej: „Staramy się — oświadczyli mi moi rozmówcy — by choć raz na dwa lata przeprowadzić wizytację każdej szkoły”. Czy to wystarczy?

Spośród wszystkich zatrudnionych w szkołach podstawowych kierowników szkół, tylko 2 posiada wyższe wykształcenie, 3 ukończyło studium nauczycielskie lub wyższy kurs nauczycielski, 14 zaocznie się dokształca, reszta zadowolila się średnim wykształceniem.

Sami kierownicy szkół i nauczyciele domagają się częstszych wizytacji, ale w jaki sposób 3 ludzi, obarczonych na dodatek ogromem prac administracyjnych, może częściej bywać we wsiach dosyć odległych od miasta, interesować się na co dzień poziomem nauczania w szkołach.

Instrukcja ministra oświaty w sprawie wizytacji i inspekcji szkół zakłada, by kierownicy inspektoratów przynajmniej 10 dni w każdym miesiącu przebywali w tzw. terenie.

„Instrukcję wykonujemy skrupulatnie — mówił mi inspektor szkolny w Opolu, Franciszek Iwańczuk — cóż z tego, kiedy większość czasu tracę na sprawy nie mające nic wspólnego z nadzorem pedagogicznym”.

Jakie to są sprawy, którymi zajmują się władze szkolne w powiecie, uszczuplając czas przeznaczony na wizytację szkół?

Przed wszystkim sprawa budowy nowych szkół. W 1961 r. w powiecie opolskim zbudowano 1 szkołę w ramach inwestycji państwowych, 1 szkołę pomnik — Tysiąclecia, 3 szkoły czynnem społecznym. W styczniu oddano do użytku 5 szkół zbudowanych czynnem społecznym, 1 szkołę z inwestycji państwowych. W budowie jest 9 szkół wznoszonych czynnem społecznym, 3 szkoły są w rozbudowie. Tyle się buduje, ale to jest dopiero kropla w morzu potrzeb tego powiatu. 6 szkół mieści się jeszcze w barakach pozostałych z remanentów wojennych. W Basonii i Zosinie sufity w barakach podpierane są palami, a dzieci chodzą po klasie między palami jak w lesie. W jednej szkole drzwi wypadły razem z futryną przy wejściu do klasy. 8 szkół mieści się w budynkach pozostałych po reformie rolnej, zupełnie nieprzystosowanych do potrzeb szkoły. 10 szkół mieści się w budynkach dawnej gminy. Jedna nawet w budynku gminnej „kozyn”. 17 szkół w izbach chłopskich rozrzuconych po wsi nierzadko w promieniu 1 km.

Jest więc zrozumiałe ze wszech miar zdrowy pęd do budownictwa nowych

szkół. Powstają komitety budowy, które gromadzą środki, materiały budowlane, starają się o plac budowy i zaczynają kopać fundamenty. I pomyśleć, że realizatorem tych wszystkich poczynań jest inspektorat szkolny, a teoretycznie rzecz biorąc, jeden pracownik techniczny, przy tym w wypadku szkół budowanych czynnem społecznym — zostawiony bez państwowego przedsiębiorstwa budowlanego. Tu jest się zdaniem na prywatnych wykonawców, którzy roboty nie podejmą, jeśli nie zaopatrzy się ich w potrzebne materiały budowlane. „Czy naprawdę nie szkoda naszych kwalifikacji, naszego czasu? — pytano mnie w inspektoracie. — Często zajmujemy się np. takimi problemami, jak omijanie obowiązujących przepisów, by móc korzystać z puli tzw. wiejskich przydziałów na budownictwo szkół”.

Dlatego uważam, że w powiatach, w których buduje się dużo szkół (a takich u nas jest niemało), powinno

powstać przedsiębiorstwo, które by przejęło od inspektorów sprawę budownictwa budynków szkolnych. Takie przedsiębiorstwo wiedziałyby, jakimi materiałami budowlanymi dysponuje, jakie środki winien mieć społeczny komitet, by można było przystąpić do budowy szkoły. Takie przedsiębiorstwo przejęłoby również coroczne remonty szkół w formie umów z prezydiami gromadzkich rad narodowych, czy z inspektoratami, miałyby więc co robić w powiecie.

A pracownicy pedagogiczni inspektoratów niech mają czas na nadzór pedagogiczny, na pomoc nauczycielom pracującym we wsiach bardzo nieraz odległych od powiatowego miasta.

Jest to tym konieczniejsze, że proces decentralizacji i nowa reforma szkolna zwiększają odpowiedzialność władz oświatowych w powiecie za poziom nauczania we wszystkich szkołach.

Sara Nonberg-Przytyk

ZAGINIONY HORYZONT KOMISJI KULTURY

KIEDY w dniu 16.IV. ub. r. społeczeństwo lubelskie dokonało wyboru nowych władz miejskich, obdarzyło jednocześnie kredytem zaufania przyszłe ich organa pomocnicze — komisje MRN. Maksimum sprawności funkcjonalnej poszczególnych komisji mieli zapewnić starannie dobrani działacze społeczni, którym sprawy rozwoju miasta są bliskie, dla których stanowią przedmiot szczególnego zainteresowania. W takich warunkach wystartowała, podobnie jak i wszystkie komisje, Komisja Kultury Miejskiej Rady Narodowej w Lublinie i w atmosferze najbardziej sprzyjającej przystąpiła do działalności.

Minęło od tej pory 8 miesięcy. W ciągu tego okresu 14-osobowa Komisja miała możliwość nie tylko skrytalizowania kierunku swej pracy, ale nawet wykazania się osiągnięciami świadczącymi o stabilizacji. Tymczasem nic z tego nie nastąpiło. Wprawdzie Komisja odbyła do dnia 1 stycznia 5 posiedzeń (podczas gdy inne 11), na których m. in. obradowano na temat warunków wypoczynku niedzielnych mieszkańców miasta, obchodów Dni Lublina i sytuacji szkół artystycznych, ale po żadnym z zebrań nie doszło do złożenia oficjalnych wniosków na ręce Prezydium MRN. A przecież w tym właśnie czasie Prezydium MRN debatowało nad adaptacją hali sportowej dla potrzeb kulturalnych miasta. Głosu wnioskodawczego Komisji Kultury w tej sprawie jednak zabrakło. Wynikło to z braku koordynacji planów pracy Komisji z planami pracy PMRN.

Jest rzeczą jasną, że rozbieżność w planach pracy nie doprowadzi do szybkich osiągnięć, a izolowanie się Komisji może spowodować brak zainteresowania sprawami realizacji programu wyborczego, który Komisja winna mieć stale na uwadze w swej działalności. Nie ulega chyba wątpliwości, że Komisja powinna nawiązać konieczną współpracę z niektórymi komisjami MRN. Z Komisją Budownictwa, na

przykład — dla spraw inwestycji kulturalnych, z Komisją Gospodarki Komunalnej — dla spraw bytowych placówek kulturalnych, z Komisją Oświaty, Budżetu i innymi. Powiązanie niektórych problemów Komisji Kultury z odpowiednimi komisjami przyniosłoby nieraz rozwiązanie trudności bez potrzeby absorbowania Prezydium.

Na jednym z pierwszych posiedzeń rozważana była sprawa zainteresowania się ruchem zespołów amatorskich oraz warunkami pracy świetlic i klubów przyzakładowych, ale nie zdołano jeszcze uzyskać żadnych materiałów bezpośrednio dotyczących stanu rzeczywistego. Wydaje się sprawą konieczną zorganizowanie trójek społecznej kontroli spośród członków Komisji, by po zebraniu danych można było opracować aktualny obraz tej rozległej i na pewno interesującej dziedziny życia kulturalnego miasta. Szkoda także, że nikt nie pomyślał o takiej formie zbliżenia się komisji do potrzeb mieszkańców, jak odbywanie posiedzeń na terenie zakładowych placówek kulturalnych lub też nawiązanie współpracy z komitetami blokowymi. Mieszkańcy Lublina to ludzie z inicjatywą, a sprawy kultury, szczególnie na peryferiach, są bardzo bliskie ich sercu, choć same urzędzenia kulturalne niejednokrotnie bardzo odległe!

W pracy na zewnątrz Komisja powinna zainteresować się także sprawą kin przyzakładowych, których kilka funkcjonuje na terenie miasta. Problem ten umyka z pola widzenia Komisji a tymczasem placówki owe wymagają uwagi ze względu na to, że dochody z seansów winny być przekazywane poszczególnym związkom na cele kulturalno-oświatowe.

Wiele jest jeszcze dziedzin życia kulturalnego Lublina, które powinny znaleźć się w planie działalności komisji, ale do tego potrzebne jest realne rozważenie aktualnych potrzeb i bezpośrednie kontakty pozwalające na uzyskanie wnikliwej oceny.

Były to wypowiedzi chłopów. Dziewczynki nie podają motywacji wyboru szkoły ogólnokształcącej, wymawiając się najwyżej zdaniem: „zobacz, jak mi będzie szła nauka, może wiedy na coś się zdecyduje”.

Jeśli idzie o szkołę-wybitnie męską — Technikum Mechaniczne — to przeważnie wybierają ją ci, którzy mają do tego zamiłowanie i pewne zdolności. Jest to druga szkoła, która uzyskała największą ilość głosów.

Czym natomiast kierują się ci uczniowie, którzy chcą uczęszczać do Szkoły Rzemiosł Budowlanych? Przede wszystkim perspektywami tego zawodu i intratnością. Oto co pisze dziewczynka, która chciałaby uczęszczać do tej szkoły:

„Na wybór tego typu szkoły wpłynęło to, że w przyszłości ludzie będą mieli dużo samochodów i potrzebna będą szosy, autostrady...”

W kraju rozwija się budownictwo przemysłowe — można więc będzie zarobić”.

Ale nie każdy kieruje się popłatnością zawodu, dużo dzieci z zamiłowaniem idzie do danej szkoły, czasem zaś ze względu na małe zdolności, albo braki w jakimś przedmiocie, które zamykają przed nimi wrota wymarzonej szkoły. Dwie dziewczynki zwierzyły się w ankietach, że pójdy do szkoły fryzjerskiej, bo: „interesuje mnie nowoczesne uczesanie włosów”, lub „od najmłodszych lat chciałam układać włosy i cieszę swoim koleżankom”. Cieszą się one jeszcze z tego, że do tej szkoły nie trzeba zdawać egzaminu wstępnego.

Ciekawym zjawiskiem jest wybór przez uczniów szkół morskich, spowodowany umiłowanie morza i przyciąganie. Wydaje się, że duży wpływ na takie decyzje miała literatura marynistyczna.

Wybór szkoły plastycznej motywowany jest oczywiście zdolnościami do rysunków i rzeźby.

JAKIE jest jednak zdanie rodziców co do wyboru szkół przez dzieci? W dwudziestu pięciu ankietach uczniowie napisali, że rodzice zgadzają się na wybrane przez dzieci szkoły, natomiast w trzech wypowiedziach zostało zasygnalizowane przeciwnie stanowisko rodziców. Jedną z dziewczynek, która wybrała szkołę pedagogiczną, zgodną z jej zain-

(Dokończenie na str. 8)

Zamiast tego wiele cennych miesięcy upłynęło od momentu, gdy Komisja doszła do wniosku, że w sprawach decentralizacji zarządzania niektórymi obiektami kulturalnymi znajdującymi się na terenie miasta należy dojść do porozumienia z Wojewódzką Komisją Kultury. Sprawa dotyczy takich placówek, jak Teatr im. Osterwy, Operetka, Dom Kultury na Zamku i in. Dwukrotnie projektowane wspólne posiedzenie nie doszło do skutku i nie wiadomo kiedy, a nawet czy w ogóle dojdzie. Na marginesie tej sprawy należy zastanowić się, czy żądanie przyjęcia tych instytucji pod całkowity zarząd władz miejskich jest sprawą Komisji i czy to żądanie w chwili obecnej jest zupełnie słuszne. W przyszłości być może, zażądanie konieczności dokonania tej zmiany, ale obecnie, gdy w grę wchodzi choćby moment dofinansowywania tych jednostek, problem nie jest łatwy do przeprowadzenia wobec szczupłych możliwości finansowych władz miejskich.

Jednocześnie z tą sprawą istnieje problem właściwego zagospodarowania sali po teatryku „Gęgorek”. Dotychczas jeszcze sala nie jest właściwie wykorzystana, bo należy dokonać tam pewnych przesunięć lokalowych aby uzyskać zaplecze. Najwyższy czas, aby sprawa tej sali stała się przedmiotem obrad Komisji. Decentralizacja — owszem, ale z umiarem. Przede wszystkim jednak należy zacząć od zafatowania już istniejących potrzeb, a nie sięgania po rozszerzenie kompetencji.

Dotychczasowy styl pracy Komisji Kultury MRN świadczy o ciągłej tymczasowości i niesprecyzowaniu powierzonej funkcji. Tymczasem olbrzymi wachlarz spraw należy przejąć w swe ręce w ciągu trwającej kadencji tym bardziej, że od ludzi wchodzących w jej skład można i trzeba wiele wymagać, gdyż w dużej części są to ludzie, którzy na co dzień stykają się z problemami kultury.

Anna Sawicka

MICHAŁ ŁOMONOSOW

List o użyteczności szkła

Mylnie o rzeczach świata myślą ci, Szuwałow,
Którzy niżej stawiają szkło od mineralów,
Co błyszczy naszym oczom nieczącym promieniem:
Szkło tak samo jest piękne i bardziej je cenię.
Dla niego z gór Parnaskich schodzę na dół nieraz
I na te wysokośći znów powracam teraz,
By opiewać przed tobą z największym zachwytem
Nie kamienie szlachetne, ale z szkła pożytek.

W miarę, jak naszych dni się rzeka bystro toczy,
Stopniowo wzrok mętnieje i słabną nam oczy
I próżno wtedy zmysłem przytępionym szukać
Tego, co nam objawia natura i sztuka.
Wielki jest serca smutek nie móc ksiąg wertować,
Gorszy niż mrok wieczysty, lżej już być w okowach!
Wtedy dzień nam jest wstrętny, śmiech nam przykrość
sprawia. Nerwy kryjące w sobie ich żywotne sily.

Z nieszczęścia tego szkło nas jedynie wybawia,
Bo ono dziękił wprawnyim rzemieślniczym rękóm
Przez okulary kładzie kres naszym udrękom,
I czyż zatem szkło nie jest dla nas darem bożym,
A my mu czei należnej wyrazić nie możemy?...

Przez szkło lunety znowu widzi nasze oko,
Jaką Stwórca niebiosom dał przestrzeń szeroką,
Ileż słońce gorejących w górze się wylania,
Gwiazd nieruchomych ile jasna noc odsłania!
Wokół słońca naszego w innych planet rzedzie
Ziemla z okrążającym ją księżycem pędzi,
Która zda się nam wielka, a tymczasem przecie
Jest tylko kropką małą w olbrzymim wszechświecie!
Jakie globów stworzonych w niebiosach jest mnóstwo!
Jak wielki jest ich Stwórca, jak może jest Bóstwo!

Choć nas natura wzrokiem ostrym obdarzyła,
Ale jednak granice ma i jego sily,
Prócz tego, że nam w dal ujrzyć rzeczy wzbrania
I wymaga lunetą promieni zebrańia,
Jak wiele jeszcze istnień nie zdoła przeniknąć,
Co kryją się przed okiem swą małością nikłą!
Ale w wieku dzisiejszym odkrył nam mikroskop
W niewidzialnych stworzeniach twórczą rękę boską:
Jak delikatne są ich członki, serca, żyły,
Nerwy kryjące w sobie ich żywotne sily.

Nie mniej niżli wlewoy ciężki w mórz odmele
Dziwił nas swą budowa robak niepojęcie,
Wielki jest Stwórca świata w każdym swoim czynie!
Wielki w ciele robaka, w tym elastym naczyńiu!
Dzięki szkłu poznajemy tyle cudów co dzień,
Które On rozlał w lesie, powietrzu i wodzie,
Zwiększając rozmiar rzeczy, gdy oczom zbyt ciasno,
Jawi nam traw rodzaje, ich leczniczą własność,
Mikroskop nam tajemnie odsłonił tak wiele,
Niewidzialnych cząsteczek, żył cieniutkich w ciebie!

Ale dalej co jeszcze? Za szkłem w barometrze
Przepowiednia się kryje o deszczu i wietrze,
Czy rychło nam ulewa zasiewy poruszy,
Czy chmury rozpędziwszy słońce je wysuszy.
Nadzieja w tym nas nigdy nie zostawi w błędzie,
Szkło pomoże nam wiedzic; co ma być, to będzie.
Gdy ruchy ciał niebieskich wykryto dokładnie,
Rozmaltość pogody też się pozna snadnie,
Jakże mogą być odłąd wieśniacy szczęśliwi,
Gdy w polu ani skwar ich, ani deszcz nie zdziwi!
I jaką stąd wygodę mogą mieć okryły,
Gdy wiedzą, czy sztorm będzie, czy zmilkną odmęty
I czy droga spokojna przed nimi otwarta.
Jakaż wielka to sprawa i gór złota warta!

Przełożył

Kazimierz Andrzej Jaworski

Stare Miasto w Lublinie jest piękne. Wśród różnych kataklizmów dziejowych, jakich w przeszłości los nam nie szczędził lubelska starówka szczęśliwie zachowała dużo ze swego odwiecznego kształtu i urody. Mimo licznych pożarów i wojen, dawne mury się ostały. Pełne uroku uliczki i zaułki, fasady sądzących kamienic, trybunał, kościół Dominikanów — to wszystko czaruje turystów i poetów, bo rdzenni lublinianie, jak to zwykle bywa, już tego na co dzień nie dostrzegają.

Dzisiaj, gdy rany zadane przez bomby hitlerowskie się zabliźniły, miasto stare pięknie odbudowane oddano ludziodo do użytku, jako część wielkiego Lublina. Mieszkają tam normalni ludzie, toczy się zwykłe życie. Po przekroczeniu Bramy Krakowskiej znajdujemy się wprawdzie pod urokiem przeszłości, ale poza tym nurt życia nie różni się od innych kręgów naszego miasta.

Nie tak dawniej bywało. Lublin przedwojenny był ogromnie zróżnicowany.

Centrum miasta dookoła Krakowskiego Przedmieścia zamieszkiwało zamożne mieszczaństwo, ulica Lubartowska wraz z przyległościami stanowiła prawie wyłącznie domę Żydów, zaś przedmieścia: Kośminek, Bronowice, Kalinowszczyzna i inne zwano dzielnicami robotniczymi. To były wszystko osobne światy żyjące własnym odrębnym życiem.

Mieszkaniec śródmieścia rzadko i niechętnie zapuszczał się w dzielnicę proletariackie, żydowski drobny kupiec lub rzemieślnik odwiedzał centralne dzielnice tylko w interesie i czym prędzej wracał do swoich. Każda dzielnica miała swoje osobliwości, innych ludzi, inne sklepy, domy i knajpy. Prugu Europy i Wiktorii nigdy nie przekroczył mieszkaniec peryferii, z kolei znów bywałec tych lokali nawet nie zbłądził do tamtych restauracji, które pogardliwie nazywano spelunkami. My młodzi i ciekawi życia czasami się tam zapuszczaliśmy, ale zawsze tej wyprawie towarzyszył pewien dreszczyk i posmak egzotyki. Do dzielnicy żydowskiej chodziło się po zakupy, ale tam się nie mieszkało. W niedzielne południe inni ludzie spacerowali po Krakowskim Przedmieściu, inni po Krochmalnej lub Lubartowskiej.

W tym tak podzielonym Lublinie Stare Miasto też stanowiło pewnego rodzaju enklawę, a osobliwością jego było to, że w ciągu jednej doby zmieniało kilkakrotnie swój kolorystyczny charakter.

Za dnia niczym specjalnym nie wyróżniało się. Było tylko bardziej brudne i zaniedbane. Łiche sklepiki, zaniedbane uliczki, ściany domów przeważnie odrapane, poroszone i naciekle wilgocią. Ludność uboga, szara, przeważnie żydowska. Różniła się jednak od tej z Lubartowskiej. Nie kłapała gwarem i życiem dzielnicy handlowej, lubelskiej City. Tu panował spokój i cisza. No i specyficzna woń przegniłych śmietników, bijąca z głębokich bram i nigdy chyba nie sprzątanego podwórka. Trudno było w tym warunkach zachwycać się cudami architektury.

Skoro jednak zapadał mrok, wylinało się zupełnie inne miasto. Josziwara — dzielnica młodości.

Na wszystkich rogach ulic, w głębi zaułków i przepastnych bram, pojawiały się tak zwane dziewczynki, by ofiarować sobie i swą miłość przygodnym znajomym. Nigdy porównanie prostytutek z emami nie było tak

trafne, jak w tym wypadku. Krążyły licznie dookoła gazowych latarni w ich starym i błękitnym blasku, z jaskrawo wymalowanymi twarzami, a w ciemnych sukienkach lub płaszczach, to ginące w mroku bram i zaułków, to znowu wypływające w innym miejscu, przy innej latarni, niespokojne, ruchliwe — prawdziwe nocne motyle. Zdawały się wśród nich młode, ładne dziewczynki i stare wyranżerowane baby.

Wszystkie tam ulice — Szambelańska, Jezuicka, Olejna, Rybna — były usiane mnóstwem małych zamkniętych, Mieściły się one w głębokich sutenach — prawie piwnicach i małych pokojkach o niesłychanie grubych ścianach i oknach wąskich jak strzelnice. Zazwyczaj w takim pokoiku stało jeszcze kilka łóżek, przedzielonych tylko kretonową firanką. Klienci tych lokali stanowili przeważnie żołnierze, studenci, uczniowie, czasem jakiś poważniejszy gość, którego wódka tu przyprowadziła. Była to miłość tańca i przeważnie dla ubogich.

Stare Miasto w Lublinie

KONRAD BIELSKI

Rzadko policja zapuszczała się w staromiejskie zaułki. Bo to i sukces kryminalny niewielki i nadzieje łapówki znikome. Toteż mimo, że prawo potępiało oficjalnie ten proceder, rozwijał się on bezpiecznie i spokojnie wśród murów wiekowych domów od zmierzchu do godziny jedenastej. O tej bowiem porze zamykano bramy. Jeszcze jakaś zabłąkana para, jeszcze jakiś spóźniony przechodzień, lecz już około północy wszystko nikło i milkło. Stare Miasto pogrążało się w mroku i ciszy. I znów następowała kolejna metamorfoza.

Nigdy wspaniała uroda tej dzielnicy nie występowała tak wyraziście jak w takie noce. Wszystko, co było szpetne za dnia w kształcie czy zapachu, rozplywało się wtedy jak dym. Zostawało same piękno.

Nikły, błękitny blask latarni gazowych, niespokojna gra długich cieni, zarys bram i wież kościelnych — te wnęki, blanki, fasady, te przepastne głębiny pasaży i zaułków. A dookoła żywej duszy. Krok idącego człowieka odbijał się wielokrotnym echem. A jeśli jeszcze przydarzyła się pełnia:

„Księżyc po stromym dachu toczy się jest nisko
zaczekaj, zaczekajmy chwilę
jak perla
upadnie w rynku lubelskiego miskę
miska zabrzenie”

Tak. Tu należałoby bez przerwy cytować Czechowicza, bo przecież jego najpiękniejsze wiersze poświęcone Staremu Lublinowi zrodziły się właśnie w takie noce.

Ileż to razy samotnie i w towarzystwie przyjaciół przemierzał te uliczki i zakamarki w mrokach i uroczach nocy. Wszedł już u nas w zwyczaj, żeby po wyjściu nocą z knajpy, lub przy jakiejś innej okazji towarzyskiej, pójść na Stare Miasto, pochodzić, poumac lub pogawędzić, a koniecznie spojrzeć na Lublin z góry przy kościele Dominikanów. W tych eskapadach trasa nasza wiodła zawsze przez

ulicę Złotą (jest również wiersz Czechowicza pt. „Muzyka ulicy Złotej”). A na tej ulicy Złotej pod numerem drugim stoi dom, z którym się łączy dla mnie mnóstwo wspomnień. Na Starym Mieście było sporo domów zamieszkałych przez inteligencję, pozostałość dawnej elity mieszczańskiej. Boć przecież jeszcze przy końcu ubiegłego wieku śródmieście Lublina kończyło się właśnie przy kościele Kapucynów. Dom na Złotej był własnością rodziny Arnsztajnowej.

Doktor Marek Arnsztajn należał do gatunku tych dziewiętnastowiecznych lekarzy-społeczników, o których już tylko wiemy z książek lub ze wspomnień starych ludzi. Zawód swój — medycynę uważał przede wszystkim za okazję do niesienia pomocy biednym i cierpiącym. Był świetnym lekarzem, rozrywany przez chorych, lecz nie było wypadku, by odmówił komukolwiek swej pomocy. Iuż biedaków wspomagał i leczył. Dziś w państwie socjalistycznym, w epoce zorganizowanej należyście i uspołecznionej służ-

hy zdrowia, mało kto już zdaje sobie sprawę, czym była taka żywa kasa chorych w postaci znanego lekarza, który odwiedzał bezinteresownie siedliska najskrajniejszej nędzy. Wszędzie niósł pomoc i otuchę. Było wtedy w Lublinie sporo takich lekarzy, dr Marek Arnsztajn siedł wśród nich w pierwszym szeregu. A przy tym serdeczny, towarzyski, zawsze pogodny i uśmiechnięty. Wyglądem zewnętrznym, ze swą postawą i sumiastym siwym wąsem, przypominał raczej jakiegoś dziedzica, przynajmniej na stu włóknach, a nie lekarza-społecznika.

Dom przy ulicy Złotej z woli gospodarza, był ośrodkiem pracy patriotycznej i niepodległościowej. Ileż tam się przewinęło ludzi, działaczy i bojowców, ileż się odbyło konspiracyjnych zebrań. Pod domem piwnice, głębokie i rozległe, ciągnące się podobno bardzo daleko, były niezastąpionym arsenałem. Nikt nie śmiał zapuszczać się w te czeluści, gdzie w dodatku podobno straszły i złe duchy wyprawiały harce. Broń tam schowana była bezpieczna i dostępna tylko dla wtajemniczonych, a raczej zaprzysiężonych.

Doktor Marek Arnsztajn doczekał się niepodległości. Umarł w roku 1930. Pogrzeb jego stał się olbrzymią manifestacją. Za trumną szedł prezydent miasta, wszyscy dygnitarze wojewódzcy i miejscy, cała inteligencja polska i żydowska oraz niezliczone rzesze pacjentów i podopiecznych. Gdy czoło konduktu dochodziło do nowego cmentarza żydowskiego, tłumy wypełniały po brzegi ulicę Lubartowską i Plac Łokietka. Dosłownie całe miasto wyległo, by mu oddać tę ostatnią posługę.

Zona doktora Marka, Franciszka Arnsztajnowa też zaliczała się do ludzi nieprzeciętnych. Pochodziła ze znanej rodziny Meyersonów. Matka jej, Karolina, była powieściopisarką, czynną w połowie ubiegłego wieku. Nie spotkałem się z jej utworami. Zginęły w cieniu Elizy Orzeszkowej i tylu innych świetnych pisarzy tamtych lat. Natomiast brat Arnsztajnowej, Emil

Meyerson, należał do czołowych filozofów, współczesny Bergsonowi. Mieszkał stale w Paryżu i pisał po francusku. Zbieracz i kolekcjoner — posiadał między innymi najbogatszy zbiór sztichów polskich.

W galerii przodków tej rodziny znajdował się podobno słynny lubelski rabin zwany Eiserner-Kopf. Na temat tej postaci różne krążyły legendy. Mówiono, że gdy wyjątkowa zaraza jeszcze w średniowieczu szalała w Lublinie, rabin ten kazał się żywcem pochować by przebłągać Boga i swą ofiarą ocalić wszystkich mieszkańców, niezależnie od wyznania i narodowości. Czy było tak naprawdę, nie mogłem dokładnie ustalić, lecz ten pogrzeb żywego człowieka, dokonany uroczystość z zachowaniem wszelkich obrzędów rytuału, ta dobrowolna śmierć, poniesiona dla dobra innych — bardzo mi przemawia do wyobraźni. Próbowałem nawet to wyszukać literacko, ale nie znalazłem właściwej formy. Grób rabina, na starym żydowskim cmentarzu, w cieniu wiekowych drzew, otoczony był zawsze wielką czcią. Nie wolno było doń podejść, a należało wstrzymać się w odległości dziesięciu kroków od miejsca spoczynku.

Śladu już nie ma po tym cmentarzu, grobie i drzewach. Wszystko zniszczyli hitlerowscy wandalci.

Pani Franciszka Arnsztajnowa o tych odległych czasach i o tych legendarnych przodkach mówiła z uśmiechem i oceniała to zresztą pod kątem poezji. Ona tkwiła już bez reszty w kulturze i tradycji polskiej. Patriotka ofiarna bojownicza o wolność — jak to już poprzednio wspomniałem, dom swój i wszelkie sily oddała walce o niepodległość.

Poza tym poetka. Twórczość jej łączy się z okresem Młodej Polski. Debiutowała w r. 1895. Pisała dużo, kilko tomów poezji. Wiele w czasopiśmie, również przekłady. Znała wybornie kilka obcych języków. Twórczość jej przeważnie uległa zapomnieniu i jak większości poetów młodopolskich, prócz tych największych, jest już dzisiaj prawie nieczytelna. Jedną jej książką została się i często jest wspomnianą. To „Stare Kamienie”, zbiór wierszy o Lublinie, napisany łącznie z Józefem Czechowiczem. Połączyło ich umiłowanie rodzinnego miasta. Współpraca z młodym i już wybitnym poetą dała bardzo dobre rezultaty.

Arnsztajnowa była dotknięta kompletną głuchotą. Rozmowa z nią była bardzo trudna, trzeba było posługiwać się piśmie. Mimo to nie chciała zrezygnować z kontaktów literackich i chętnie przyjmowała. Nieraz brałem udział w tych zebrańiach, które się odbywały w pięknym mieszkaniu na pierwszym piętrze, pełnym antyków i cennych obrazów.

Jednakże najwięcej przeżył, a co za tym idzie — wspomnień łączy się dla mnie z drugim piętrem tego domu. Na drugim piętrze mieszkał syn, młody doktor Jan Arnsztajn, z którym łączyła mnie serdeczna przyjaźń.

Drobny, szczupły, niewielkiego wzrostu, temperament posiadał nie na miarę swego ciała. Gdy go poznałem, miał już za sobą bogatą przeszłość. P.O.W., Legiony, długi pobyt na frontach, ranę lewej ręki, której ruchy na skutek tego miał znacznie ograniczone. Owdowiał. Zona, którą bardzo kochał, zmarła przy porodzie. Córeczkę wychowywał teściowie, poza Lublinem. Zajmował drugie piętro w starym domu swych rodziców i praktykował jako

(Dokończenie na str. 10)

„Albowiem głupcy więcej wielbią i milują to, co odkrywają pod pokryciem słów poprzekręcanych i obwołują prawdą to, co potrafi zgrabnie polaskotać uszy i co się mizdrzy wdzięcznym dźwiękiem”.
Lucretius

PO STOKROC przepraszam moich czytelników, że w tych swoich listach posługuję się truizmami i upraszczam trudne i złożone sprawy sztuki poetyckiej. Przysięgam, że wiele razy milczę tylko dlatego, że wszystko wydaje mi się o wiele bardziej złożone niż to można wyrazić. Ale z drugiej strony, gdy czytam dobre wiersze, wydaje mi się, że właściwie jest wiele prawd prostych i oczywistych, o których trzeba mówić, aby nam krytycy uszytych do reszty nie zaciemnili błyskotliwymi popisami inteligencji.

Poza tym jeszcze raz pragnę się zastrzec, że nie piszę ani dla inteligentnych krytyków, ani dla świętych poetów (innych przecież nie ma). Piszę dla was, miłośnicy i przyjaciele poezji, skarżący się na nieważność i nieczytelność poezji nowoczesnej, cierpiący z tego powodu, powracający do niej i odchodzący znów do Kasprowicza i jeszcze raz powracający. Tylko dla was i dla siebie piszę te listy, trochę serdeczne, a trochę gorzkie i niecierpliwie.

Co lubicie poezję (kochacie — wielkie słowo!), a jednocześnie może nie z własnej winy przechowujecie w świadomości tyle uprzedzeń i przesądów dotyczących poezji, macie do niej więcej pretensji, z których nie wszystkie są uzasadnione.

Weźmy choćby tę jedną klasyczną sprawę. Rym. Nie ma spotkania autorskiego, na którym by nie padło wreszcie to słowo.

Poezja współczesna przeważnie (bo przecież nie całkowicie) zarzuca rym. Nieobecność rymu laicy uważają za wyróżnik poezji nowoczesnej. Żalują rymu. Bo to tak przyjemnie brzmi, gdy wiersz potrafi o wiersz, gdy uwaga słuchacza nastawia się cała na oczekiwanie nowego współbrzmienia i nie doznaje rozczarowania. A poza tym o ile łatwiej zapamiętać wiersz związany mocno rymami. Taki wiersz sam wchodzi do głowy. Tymczasem tej nowoczesnej poezji ani rusz nie można zapamiętać. Można też pokaleczyć. A przecież to również jest sprawdzian wartości poezji. Może nawet najważniejszy.

Poza tym czemu poezja ma nas pozbawiać tej radości? Jeśli to cieszy uszy... Czy uszy poetów są skonstruowane inaczej? A może do poezji napełniało się wielu głuchych jak pień i niemuzycznych?

Oto są żale zwolenników rymu.

Może wystarczyłoby w wielu wypadkach przypomnieć pewne fakty szkolne. Na przykład to, że rym w poezji powstał dopiero w średniowieczu, że nie znała go wspaniała poezja starożytna, ani egipska, ani indyjska, ani żydowska (Stary Testament, Pieśń nad Pieśniami), ani poezja grecka i rzymska. Nie znają też rymu ludowe poematy słowiańskie: serbskie, bułgarskie i staroruskie. Tak więc rym nie jest cechą poezji konieczną ani odwieczną. Być może że został wprowadzony z przyczyn pedagogicznych dla ułatwienia zapamiętania pewnych formuł, może też z przyczyn magicznych (o magii słowa trzeba napisać osobno). W polskiej poezji ludowej rym również zjawiał się dość późno, zachowały się szczątki ludowych tekstów nierymowanych operujących zamiast rymu powtarzającym się członem zdaniowym.

Jan Kochanowski w „Odprowie słów greckich” nawiązując do poezji starożytnej daje próbkę wspaniałego wiersza białego, to znaczy nierymowanego. Jest to w poezji polskiej do dziś niedościgniony wzór instrumentacji wewnętrznej wiersza nierymowanego. Uczono nas w szkole podziwiać ten mistrzowski utwór tak ważny również ze względu na obywatelską myśl i powagę dramatu Kochanowskiego:

O białoskrzydła morska pławaczko,
Wychowanico Idy wysokiej,
Łódź bukowa, któraś gładkie
Twarzy pasterza Prijamczyka
Mokrymi słonych wód ścieżkami
Do przeźroczyстых Eurotowych
Brodów nosiła!

W tym nierymowanym wierszu co innego wysuwa się na plan pierwszy — zdanie, niezaprzeczona podstawa poezji.

Od czasu do czasu poeci polscy posługują się wierszem białym, choć nikt tak jak Kochanowski. Poeci baroku w wieku XVII wypieścili i wymuskali rym, wprowadzając też wiele innych sztuczec dźwiękowych i graficznych.

Na większą skalę zerwała z tradycyjnym rymem awangarda polska w latach 20-tych i 30-tych naszego wieku.

Stało się to w wyniku wielkiego przełomu literackiego, o którym już pisałam, przełomu na skalę europejską. Ze starymi formami sztuki zerwała wówczas poezja francuska, włoska, hiszpańska i rosyjska. Częściowa rezygnacja z rymu tłumaczyła się wówczas odrzuceniem pojęć dawnej sztuki, poszukiwaniem nowych form i nowych sposobów wypowiedzi. Była to zresztą rezygnacja tylko częściowa. Odrzucono rym tzw. czystoformowy, gramatyczny, oklepany i zbyt łatwy. Wprowadzono na szerszą skalę asonans wzięty z poezji ludowej, rymy wyszukane, rymy złożone, odwrócone, rymy wewnętrzne. Zastąpiono banalne rymy dźwiękowymi aliteracjami wewnątrz wiersza, zbitkami i zgrupowaniami jednako-owych samogłosek lub spółgłosek. Wynalazki rymowe były ambicją futurystów, ekspresjonistów, awangardzistów i wszystkich poetów poszukującego nurtu. W modzie było łączenie rymami wyrazów egzotycznych i obcych. Bruno Jasiński rymował: skwar ściał-garścią, wsi by- skiby. Stanisław Młodziejewicz wiązał rymem słowa: potwór- otwarł, inicjał — policjant. Takie rymy byłyby wyklęte nie tylko przez Koźmiana, ale i przez zuchwałych romantyków. Do czerpania z bogactwa asonansów ludowych ośmieliła nas przede wszystkim poezja rosyjska.

Zarówno poezja Przybosa jak i Józefa Czechowicza, reprezentantów dwóch nurtów awangardy — nie są pozbawione w zasadzie rymu. Tylko że rymy te nie są u nich tak natrętne jak u post-romantyków. Z rzadka wiążą końce frazy, nie zawsze występują na końcu linii wierszowych. W poezji Czechowicza są najczęściej ludowymi asonansami.

Po ostatniej wojnie poezja uległa jeszcze dalszemu sprozaizowaniu. Dokonał tego w dużej mierze Tadeusz Różewicz. Najmłodszy poeci sięgnęli poprzez niego do początków ruchu awangardowego, gdzie niespodziewanie czyhała na nich zasadzka młodopolskiej secesji. Ale do rymu już przeważnie nie wrócili.

Zresztą analogiczne zjawisko — rozwój wiersza wolnego i białego obserwuje się w poezji wszystkich narodów. Włosi na przykład twierdzą, że

język ich tak bardzo sam w sobie melodyjny i niosący znaczną ilość współbrzmień w normalnym toku mowy — nadużył już rymu. Rym jest tam zawsze „na końcu języka”. Zbyt łatwy, nie działa więc dłużej, nie daje satysfakcji poetom i czytelnikom. We Francji rozwinął się gatunek małej prozy poetyckiej oczywiście pozbawionej rymu. Również tradycja tłumaczenia obecnej poezji przy pomocy prozy — mogła wpłynąć na rozwój wiersza białego.

I w polskiej poezji daje się odczuć zbanalizowanie i znużenie zasobem rymów używanych w poezji. Kto przyzwyczaił się do wiersza wolnego, nierymowanego — ten czasem z niechęcią sięga po współczesny wiersz rymowany. Wydaje mu się on sztuczny i wymuskany, może pretensjonalny. Powtarzam — współczesny wiersz — bo przecież wszystko zależy od konwencji i od treści, jakie poeta wyraża. Nie znaczy to, że nie ma powrotu do rymu. Być może, że poeci poszukujący wrócą do rymu i użyją go w nowej jakiejś funkcji. W niektórych wierszach rymowanych Różewicza już świeża ta nowa funkcja: ironiczna, kontrastująca harmonijny strój dawnego wiersza z treścią bardzo prostą i tragiczną.

Jest taki wiersz Różewicza:

Byli szczęśliwi
dawniejsi poeci
świat był jak drzewo
a oni jak dzieci
a nasze drzewo
W nocy zaskrzypiało
i zwiśło na nim
pogardzone ciało

W tym wierszu brzmiącym jak piosenka dla dzieci, w wierszu o czystych, okrągłych rymach, rymy spełniają przewrotną funkcję ironiczną. W tym wierszu ubrał poeta w dziecięce rymy prostą i tragiczną prawdę o świecie, o swoim pokoleniu.

Ale na ogół właśnie ta prawda, właśnie treść naszego przeżycia, każe nam odrzucać piękne i harmonijne rymy „laskoczące uszy” i „mizdrzące się wdziękiem”. Ta prawda, którą nosimy w sobie i którą chcemy wyrazić, domaga się wiersza szorstkiego, prostego i chropowatego.

Nie chcemy przybierać żadnych poz i nie chcemy pomników. Rym jest ornamentem. Nikt nie wkłada koronkowych mankietów do współczesnej codziennej marynarki.

Niech poeci mówią zwykłym ludzkim głosem o sprawach ludzkich, ale tak, aby trzeba było ich wysłuchać.

Jeśli nie możecie ich wierszy zapamiętać, nie trzeba. Nie tamcie sobie głowy. Pocztowy Gutenberg wynalazł już druk.

KULTURA W OFLAGU*

JÓZEF KAZIMIERZ KOWALSKI

Zamknięto nam teatr. Blok teatralny przeznaczono na kwatery. Siłą rzeczy i orkiestra zakończyła dawanie koncertów.

Muzyka, chóry, teatr, to wzruszające wspomnienia. Wprowadziły w nasze smutne życie tyle jasných promieni, że zasłużyły na wdzięczność.

Tak doskonałego czterogłosowego chóru męskiego z potężnymi basami, jakim był chór jeniecki w Murau, już pewnie nigdy w swym życiu nie usłyszę. Świetnie było przez chór z orkiestrą wykonanie mazura ze „Straszego dworu” i Chopinowskiego poloneza A-dur. Z koncertu wychodziliśmy rozentuzjowani aż do gorączki.

Ostatecznym wynikiem pięcioletniej pracy orkiestry i chóru stał się ośmioldniowy festiwal, dany w 1944 r., kiedy przeżywalismy reminiscencje warszawskiej tragedii. To nas oderwało od rozmyślań.

Program festiwalu:

Wtorek 24.X.44.

- | | |
|---------------------------------|----------------|
| 1. Moniuszko — Uwertura z „Hal- | dyr. L. Rezler |
| 2. Moniuszko — „Bajka” | „ Wołosz- |
| 3. Noskowski — „Step” | „ Kanaś |
| 4. Moniuszko — Mazur z „Hal- | „ Kanaś |

Sroda 25.X.44.

- | | |
|-------------------------------|---------|
| 1. Weber — Uwertura do | „ Kanaś |
| 2. Schubert — Symfonia H-moll | „ Kanaś |
| 3. Grieg — „Peer Gynt” | „ Kanaś |
| 4. Liszt — Poemat symfoni- | „ Kanaś |

Piątek 27.X.44.

- | | |
|-------------------------------|-------------|
| 1. Mendelsohn — Uwertura „He- | dyr. Rezler |
| 2. Chopin — Koncert fortepia- | „ Rezler |
| 3. Dworzak — Symfonia V | „ Rezler |

Niedziela 29.X.44.

- | | |
|----------------------------------|------------|
| 1. Moniuszko — Uwertura do „Hal- | „ Rezler |
| 2. Moniuszko — „Bajka” | „ Wołosza- |
| 3. Noskowski — „Step” | „ Kanaś |
| 4. Moniuszko — Mazur ze „Stra- | „ Janicki |
| 5. Chopin — Polonez A-dur | „ Janicki |

Ostatnie dwa utwory wykonał chór z orkiestrą.

Poniedziałek 30.X.44.

- | | |
|---------------------------------|-------------|
| 1. Beethoven — Uwertura koncer- | „ Wołosza- |
| 2. Czajkowski — Symfonia IV | „ Jankowski |
| 3. Grieg — Koncert fortepia- | „ Jankowski |
| 4. Beethoven — Symfonia III Es- | „ Wołosza- |

Muzyka popularna

Sroda 25.X.44.

- | | |
|---|--|
| 1. Koncert muzyki popularnej, „Kapela ludowa” pod dyrykcją Machnika. Chór pod dyrykcją Wierzbickiego. Wykonano szereg melodii ludowych. | |
|---|--|

Piątek 27.X.44.

- | | |
|--|--|
| Koncert muzyki tanecznej, orkiestra „Wojtek-jazz”, chór rewelersów, soliści, — pod batutą Kapala. Orkiestra mandolinistów pod batutą Wołoszanowskiego. W programie Plessow, Raymond, Albeniz, Strauss, Brian i inni. | |
|--|--|

Poniedziałek 30.X.44.

- | | |
|--|--|
| Koncert muzyki popularnej. Mała orkiestra symfoniczna pod dyr. Rezlera, chór pod dyrykcją Wierzbickiego, w programie utwory Rossini’ego, Gounoda, Puccini’ego, Wojciechowskiego, Lachmana, Wallek-Walewskiego. | |
|--|--|

Festiwal był wielkim sukcesem. Podaliśmy program festiwalu, by nie twierdzić głośno o poważnym wkładzie pracy naszych zespołów muzycznych i wokalnych. Ci jeńcy nie zmarnowali czasu w niewoli.

Wielu z nich zdobyło sobie tutaj nowy zawód i na pewno dziś pracują w tym zawodzie.

Podporucznik Rezler znany nam był od początku niewoli jako skrzypek-wirtuoz. On pierwszy, jako solista, zaczął dawać własne koncerty, a następnie zorganizował koncerty kolegów. Jego znakomity udział w festiwalu nie zrobił nam niespodzianki, natomiast mało znanym pod tym względem podporucznika Wołoszanowskiego. Grał w orkiestrze. Zorganizował sobie orkiestrę mandolinistów. Nie interesowały nas zbyt produkcje tego zespołu, jakie że mają one ograniczone możliwości.

Kiedyś jednak, przez przypadek, znalazłem się na koncercie mandolinistów i zostałem mile zaskoczony nadzwyczajną subtelnością w wykonaniu granych przez nią utworów. Wołoszanowski zaryzykował poważną muzykę. Trzeba przyznać, że jemu tylko znaną techniką „szczypania” instrumentów potrafił wyeliminować banalną w mandolinie „trzęsionkę” dźwięków. Pomysłową instrumentacją rozszerzył zakres orkiestralnych możliwości. Pokonał nasze uprzedzenia. Ale lwi pazur pokazał dopiero w dyrygowaniu symfoniczną orkiestrą na koncercie poprzedzającym festiwal.

Widząc w programie Czajkowskiego szedłem na koncert z zaciętkawieniem, bo Czajkowski, to trudny orzech dla młodego dyrygenta. A jednak Wołoszanowski zadyrygował poloneza Czajkowskiego z takim talentem, że wywołał niewidziany dotychczas entuzjazm. Po odłożeniu batuty był wyczerpany, zły potem. Prosił, by uwolniono go od bisowania, ale widownia szalała. Zmusiliśmy biedaka. Powtórzył poloneza. Klaniał się schodząc od pulpitu. Dyrygent z takim nerwem powinien być zasłynąć. Co się z nim dzieje?

Kanaś cechowała wielką pracowitość i zamiłowanie do klasycznej muzyki. Kapala doskonale prowadził jazz i zespół rewelersów, a Janicki duże chórki zespoły. Świetnie nad nimi panował. Wywolywał w słuchaczach potężne wrażenia.

Ponieważ o naszych zespołach orkiestralnych i chóralnych nikt nigdzie nie umieszczał recenzji, a należało im się historyczna wzmianka, uczyniłem ją z całą przyjemnością i wdzięcznością.

Niepodobna pominąć teatru, bo teatr mieliśmy przedni. Z początku dawał kuplety, skecze, wreszcie rewie, ale później... Zaczęło się od „Zaczarowanego koła”. Wcale dobrze. „Zemsta” Fredry podbiła nasze serca dobrą grą, wyczarowaną z niczego scenografią i kostiumerią. Jakież paradne kontusze uszyto z wór-

* Fragment wspomnień, które ukażą się w zb. nakładem Wydawnictwa Lubelskiego w ramach współpracy sąsiedzkiej z Białymstokiem.

Księgarnia XVI-wieczna. Książki na półkach, sycychy. Nad środkową półką popiersie Minerwy jako godło księgarni. Stół, zdybe. Obecni: Księgarz i trzech klientów. Jeden z nich siedzi i przegląda jakiś foliast.

KLIENT I: Dziś w nocy zabrali mego sąsiada.

KSIEGARZ: Kogo?

KLIENT I: Kamila Vetulani.

KLIENT II: Kamila?!

KSIEGARZ: Ostrzegalem go. Radzilem uciekać.

KLIENT I: Zwlekał — ludził się.

KLIENT III (podnosi oczy znad książki): Kto na niego doniósł?

KLIENT I: Chyba ktoś z domowników. Unikał wszystkich, z nikim nie wdawał się w rozmowy... Ostatnimi czasy nawet z mną ledwie się witał.

KLIENT III: To nawet — szczęśliwie dla waszmości.

KLIENT I: Istotnie — okoliczność raczej pomyślna.

KLIENT II: Kto go mógł wydać?

KLIENT I: Komu można dziś ufać?

KSIEGARZ: Nawet własnemu dziecku — nie. Nauczyl je donosić na rodziców.

KLIENT I: Skąd tyle podłości? (Słychać daleko dzwon, ostrzy, przerywany. Wszyscy umilkli, nastuchują).

KLIENT II: Co to? Dlaczego dzwonią?

KLIENT I: Czy kogoś na stracenie wiodą?

KSIEGARZ: Mają palić książki z wyroku Inkwizycji na Campo di Fiore.

KLIENT III: Jakie?

KSIEGARZ: Różne. Sporo też ksiąg doktora Serveta.

KLIENT III: Serveta? A przecież go kalwini spalili w Genewie?

KLIENT I: Ileż to lat temu!

KSIEGARZ: To cóż? Ale książki są wciąż niebezpieczne. Święta Inkwizycja czy Kalwiński Trybunał...

KLIENT III (wertuje pośpiesznie trzymany na kolanach foliast, znajduje poszukiwany ustęp): Posłuchajcie, co pisze Tacyt „Żywot Agrykoli”, rozdział drugi: „A srożono się nie tylko przeciw samym autorom, lecz nawet przeciw ich książkom, albowiem Triumwirom poruczono, aby dzieła ich spalić na forum w miejscu spełniania egzekucji. Snać sążono, że tym ogniem wytepi się głos narodu rzymskiego... a dalej: „a jak dawne pokolenie widziało wolność — tak my widziliśmy skrajną niewolę, kiedy szpiegowaniem odebrano nam nawet wymianę słów i myśli...”

KLIENT II: Wydaje się być pisane wczoraj...

(Patrz po sobie badawczo i niepewnie. Daleki dzwon milknie. Pauza).

KLIENT I (po chwili półgłosem): Kiedy to się skończy?

KLIENT III: „Nigdy...”

KLIENT I: Przecież nie można tak dłużej żyć!

KLIENT III: A jednak się żyje.

KLIENT II: Nie! Nigdy się z tym nie zgodzę. To musi się skończyć.

KLIENT III: Jak? Zmieniają się hasła przemocy — ale przemoc?

KLIENT II: Niewola jest przeciwna ludzkiej naturze, dlatego nie może trwać.

KLIENT III: A może niewola jest właśnie przyrodzonym stanem ludzkiej natury?

KLIENT I: ...I zdrada...

KSIEGARZ: ...I strach...

KLIENT II: Kiedyś nie był nam obcy... bunt!

KSIEGARZ: Kiedyś... a dziś każdy z nas dokłada od siebie po kamyku do ciężaru, który nas gniecie. Każdy z nas co dzień przyczynia się, aby ten ciężar był coraz cięższy.

KLIENT II: Jak? Nie rozumiem?

KSIEGARZ: W tej chwili jesteśmy między sobą — sami swoi, ale oglądamy się na drzwi... no tak... i badawczo patrzymy przyjacielowi w oczy, ponieważ ludzką rzeczą jest lek... więc nieobcy również im... wiele wielbionym doktorom, dostojnikom i sędziom, którzy są nad nami. Zachodzą tu czasem, przeglądają książki i wieszają, a wtedy widzę w ich oczach strach.

KLIENT II: Przed czym?

KSIEGARZ: Boją się, czy w tych księgach nie czai się gdzieś wśród kart ukryte słowo. Słowo, od którego ich wiara pryśnie. Widzą nie są jej pewni, skoro się tak boją? A cóż bardziej przerażającego — niż świat pozbawiony sensu?

(Wchodzi Mocenigo. Chytkiem, nikogo nie pozdrawiając, od razu zbliża się do półek z książkami, myszkuje po nich oczyma. Wszyscy na jego widok odsuwają się od siebie, udają obcych. Księgarz zbliża się do Mocenigo).

KSIEGARZ: Czym mogę Waszmości służyć?

MOCENIGO: Poszukuję pewnej książki... W czasie moich podróży handlowych nie omijam żadnej księgarni,

aby o nią nie spytać. Szukałem jej w Padwie, Bolonii, Florencji.

KSIEGARZ: Księgarnię mam dobrze zaopatrzoną — może znajdziecie ją u mnie? A jaki tytuł onej książki?

MOCENIGO: „Uczta Popielcowa”.

KSIEGARZ (powtarza, aby zyskać na czasie): „Uczta Popielcowa”... w pięciu dialogach...

MOCENIGO: Tak, tak. Napisał Giordano Bruno.

KSIEGARZ: Giordano Bruno...

MOCENIGO: Więc wiecie o niej? Macie ją na składzie?

KSIEGARZ: Nie. Nie mam.

MOCENIGO: A może jest o „Nieskończoności, Wszczęściwie i Światach”?

KSIEGARZ: Nie. Nie mam żadnej z książek, które napisał i nie śmiałbym ich mieć, gdyż obłożone są interdyktem. Waszmość jest po raz pierwszy w Rzymie? Z Republiki Weneckiej — jak sądzę?

MOCENIGO: Dlaczego?

KSIEGARZ: Wymowa Waszmości.

MOCENIGO: Może być... może być. Więc nie ma... szkoda. (Bez pozdrowienia wychodzi).

KLIENT I: Kto zacz?

KSIEGARZ (wzrusza ramionami).



KLIENT II: Jakaś delatorska gęba.

KLIENT III: I wejrzenie lisie.

KLIENT I: Co za czasy! W każdym widzimy szpiega. Może to jakiś poczwieriec?

KLIENT III: Widziałem, jak myszkowałam oczyma po półkach.

KLIENT II: Szukał.

KSIEGARZ: I tylko o Giordana pytał.

KLIENT I: Giordano Nolańczyk — dawno nie mieliśmy o nim wieści.

KLIENT II: Ileż to lat?

KSIEGARZ: Osiem.

KLIENT I: Tak... w zeszyłem miesiącu minęło osiem lat, jak go uwięzili.

KLIENT III: I wciąż nie ma procesu.

KSIEGARZ: Bo chcą, żeby odwołał.

KLIENT I: Jak może odwołać? że dwa razy dwa nie jest cztery? Toć przeciw zdrowemu rozsądkowi.

KSIEGARZ: Ale zgadza się z Pismem.

KLIENT II: Nie odwoła.

KLIENT III: Cóż można wiedzieć? Kto wie, jakim poddany torturom? Na jakie wystawiony próby?

KLIENT I: Odcięty od świata przez tyle lat. Nie ma sposobu — ani przekupstwo, ani podstęp — nic nie przebijie murów, ani okutych bram.

KSIEGARZ: Jeśli nie ma procesu — to znaczy, że walczy i nie ustępuje.

KLIENT II: I nie ustąpi.

KSIEGARZ (zniżył głos): Miałem wiadomość.

KLIENT I: List?!

KSIEGARZ: Nie. Ale ktoś stamtąd przyniósł mi kilka słów, które polecił powtórzyć.

WSZYSCY: Co powiedział?

KSIEGARZ: Powiedział: „Nawet zamknięty w łupinie orzecha — jestem panem niezmiernych przestrzeni.” (Zastona).

ODSLONA IV

Skąpo oświetlona sala. W głębi duże okno, zastłonięte fioletową zastoną. Wielki Inkwizytor siedzi za stołem, — obok niego stoi Prokurator, przy drzwiach w kornej postawie — Mocenigo.

INKWIZYTOR (po chwili milczenia): Dowiedzieliśmy się, że przywiezłeś ważną wiadomość z Wenecji i chcesz ją powierzyć Inkwizytorowi? Słucham.

MOCENIGO (milczy, jakby nie mógł dobyć głosu. Pauza).

INKWIZYTOR: Mów.

MOCENIGO: Na drzwiach mego domu — smolą wypisano słowo: Judasz. (Umilkł).

INKWIZYTOR (po chwili): Czy to wszystko?

MOCENIGO: Tak.

INKWIZYTOR: Aby nam o tym do-

nieść porzuciłeś swoje sprawy, naraziłeś się na trudy podróży i koszty?

MOCENIGO: Jeśli napis jest słuszny — to moje sprawy nie mają znaczenia i...

INKWIZYTOR: Czy sądzisz, że napis jest słuszny?

MOCENIGO: Mówią, iż Giordano Bruno mężnie zniósł tortury, że osiem lat więzienia nie zламаło jego ducha. Mówią, że nie będzie nad nim sądu. Mówią, że jest niewinny.

INKWIZYTOR: W Wenecji?

MOCENIGO: W Wenecji i w Bolonii i w Padwie i wszędzie, gdziekolwiek o to pytałem.

INKWIZYTOR: Więc mniemasz, iż jest niewinny?

MOCENIGO: Ten człowiek bezkarnie podał w wątpliwość Prawdę Najwyższą, zburzył mój spokój, życie moje zniszczył. Czy jest mocniejszy od... (Urwał, milczy).

INKWIZYTOR: Czy przybywasz, aby odwołać oskarżenie?

MOCENIGO: Czy można odwołać nienawiść?

INKWIZYTOR: Więc oskarżając go — powodowałeś się nienawiścią?

MOCENIGO: Więc jest niewinny?

INKWIZYTOR: To sprawa Świętego Officium.

MOCENIGO: Czy Święte Officium może zdjąć ze mnie znamię Judasza? Żyję jak bym dotknięty był trędą. A przecież niczym się nie zhańbiłem? Stanąłem w obronie Prawdy, którą Giordano podeptał — dlatego otacza mnie wzgarda i nienawiść?!

PROKURATOR: Udasz się Waszmość do kancelarii i podasz pisarzowi nazwiska osób, które wedle twej wiedzy pochwalają błąd Giordana.

MOCENIGO (po chwili): Nie wiem — nie słyszałem... Nikt w mojej obecności nie ujawni myśli. Nikt nie odśloni twarzy. Ich twarze są jak ściany bielone, ich słowa są jak ściany... Ich słowa nic nie znaczą.

INKWIZYTOR (do Prokuratora): Cóż nam przyniósł — oprócz własnej rozterki?

MOCENIGO (po chwili): Pozwólcie odejść.

INKWIZYTOR (ruchem głowy pozwała).

MOCENIGO (składa głęboki ukłon — wychodzi).

(Prokurator wyczekująco i badawczo patrzy na Inkwizytora).

INKWIZYTOR (po chwili z uśmiechem): Dante Alighieri opowiada, że widział w piekle dusze ludzi na onczas żywych — poddane okrutnym męczarniom.

PROKURATOR: W piekle — zanim się rozłączyły z ciałem?

INKWIZYTOR: Licentia poetica... Ale patrząc na twarz tego nieboraka, pomyślałem, że jego dusza już od dawna przebywa w piekle.

PROKURATOR: W poetyckiej przenośni — oczywiście.

INKWIZYTOR: Piekło jest bliżej niż się to naszym doktorom wydaje.

PROKURATOR: O tak! Bunt i herezja szerzą się jak dżuma. Stolica Apostolska zna nieprzejednaną surowość Waszej Wielbności — ale w sprawie procesu Giordana słyszy się dziwne pogłoski i komentarze.

INKWIZYTOR: Komentarze głupców.

PROKURATOR: Niemniej odwołanie wyroku napełnia kongregację niepokojem i troską.

INKWIZYTOR: Napełnia troską Klemensa, który niedawno mianował kardynałem swego siostrzeńca — młokosa i nieuka, niepokoi kardynała Farinacci, który onegdaj ofiarował swej kochance sznur pereł olśniewającej piękności. Proces Giordana napełnia troską kardynała Mauroceno, który jawnie sprzedaje kościelne urzędy, przejmując troską całą sferę żarłoków i opalców, którzy się tłoczą u tronu...

PROKURATOR (w czasie tych słów coraz niżej pochyla głowę. Po chwili): Dlatego nie można dłużej cierpieć zakonnikowi odstępcy, który głosi tezy w najwyższym stopniu niebezpieczne.

INKWIZYTOR: Jego śmierć nie przęda się na nic — jego myśli trzeba unicestwić. Kto tego dokona?

PROKURATOR: On sam.

INKWIZYTOR: Tak — tylko on — ale nie ucznił tego.

PROKURATOR: Odwołał.

INKWIZYTOR: Nie ma znaczenia. Był przymuszony. Nikt w to nie uwierzy. Prokurator: Ponieważ tortury prowadzone były nierozumnie.

INKWIZYTOR: W tym wypadku dalsze tortury są bezcelowe.

PROKURATOR: Bezcelowe? Wobec jawnej herezji?

INKWIZYTOR: Gdybyż to była herezja...

PROKURATOR (patrzy nań pytająco). (Słychać kołatki u drzwi i po chwili wchodzi dwaj sędziowie).

SEDZIA I: Wasza Wielbność — dochodzą nas wieści, że niedorzeczna teza o obrocie dookoła słońca zaczyna

coraz bardziej opanowywać ludzkie umysły.

SEDZIA II: Trudno pojąć, aby jawny absurd przeczący zdrowemu rozsądkowi i codziennemu świadectwu zmysłów...

SEDZIA I (przerzywa): Skoro jest złudzeniem porządek dnia i nocy, skoro to nie słońce wschodzi, lecz ziemia się obraca — w takim razie wszystko jest złudzeniem — cały porządek Stworzenia!

SEDZIA II: I dziesięcioro przykazań i prawa

SEDZIA I: Więc nic nie jest wzbronione?

SEDZIA II: Chaos i obłęd złączą rządzące światem.

SEDZIA I: Czy można żyć patrząc w otchłań?

SEDZIA II: A my — którzy jesteśmy powołani, aby prostować ścieżki ludzkiego ducha — patrzymy na to bezczynnie?...

INKWIZYTOR: Jutro będziemy przysłuchiwać Giordana Bruno.

Zastona).

ODSLONA V

PROKURATOR: Więc to gorszący tryb życia zakonników był przyczyną ucieczki oskarżonego?

GIORDANO: Ciążyło mi surowe posłuszeństwo zakonne — pragnąłem wolności.

SEDZIA I: W jakim celu?

GIORDANO: Nie rozumiem pytania.

SEDZIA I: Wolność nie może być celem dla siebie. Wolność jest dana człowiekowi dla celów wyższych.

SEDZIA II: Niech teraz wyzna, ku czemu chciał użyć wolności — złamawszy śluby zakonnego posłuszeństwa?

GIORDANO: Pragnąłem wolności. Z tamtej strony Alp dochodziły wieści o rozkwicie nauk, o sławnych uniwersytetach, o wielkiej swobodzie słowa i myśli... Więc zdawało mi się, że tam mój umysł dorośnie do dzieł — do jakich mniemałem, jestem powołany.

SEDZIA I: Jakie są jego dzieła? Niech je wymieni.

GIORDANO: Nie ma ich.

PROKURATOR: Jaki? Leżą przed nami: „Uczta Popielcowa”, „Sigillus Sigillorum”, „O Nieskończoności, Wszczęściwie i Światach”...

GIORDANO: To są książki — ale dzieła, które w młodości planowałem uchodzić za Alpy... nie ma.

PROKURATOR: Niechaj nie stara się nas omamić pozorami pokory, gdyż wiemy, iż pycha była promotorem jego czynów. Twierdził o sobie, że jest: „Excubitor” — to jest: Budziciel Ducha?

GIORDANO: Przyznaję, iż nazwanie jest przesadne, ale trzeba je wybaczyć człowiekowi, który nigdy nie zaznał odpocynku, który nie posiadał domu, ani mienia, ani ojczyzny. Taki człowiek w ciągłej ucieczce, ścigany przez nienawiść — musi szukać pociechy w wyobraźni... Więc stworzyłem sobie obraz własnej istoty i ten obraz nazwałem „Excubitor” — to jest budziciel gnuśnych, spodłych w niewoli umysłów. ...Rychło jednak rozpoznałem, iż obraz, który sobie zbudowałem w imaginacji, nie obroni mnie przed samym sobą, ani przed światem.

SEDZIA II: Niech wyjaśni, jaką to niewolę umysłów miał na względzie?

GIORDANO: Szeroka jest rzeka niewoli i trudno jej brzegów dojrzeć. Doświadczyłem tego przebywając w krajach kacerskich, gdzie widziałem, jak ci, co przeciw niewoli powstali, teraz stokroć twardszą niewolę narzucają sobie i drugim.

PROKURATOR: Czy ganili środki, jakie stosuje „Święta Inkwizycja” przeciw tym, którzy zbłądzili?

GIORDANO: Mówiłem, że Apostołowie dokonali więcej dobrymi uczynkami, przykładem i miłością, niż osłaga się przemocą stosowaną dziś — czego zamierzają się nie da.

SEDZIA I: Odpowiedź ta byłaby może do przyjęcia, gdyby obecnie Kościół Święty mógł się powoływać na tełe cudów, co w czasach Apostołów. Ale tak nie jest.

PROKURATOR: Winien też wiedzieć, iż komu dano Prawdę, dano również — miecz.

GIORDANO: Wiem.

INKWIZYTOR: Czy oskarżony przyznaje się, iż głosił tezę o obrocie ziemi dookoła słońca?

GIORDANO: Tak.

INKWIZYTOR: Kongregacja Indeksu uznaje ją za niedorzeczną ze stanowiska filozofii, a heretycką ze stanowiska religii. Czy wobec tego oskarżony gotów jest ją publicznie odwołać?

GIORDANO (po chwili): Czy moje

GIORDANO BRUNO

(Dokończenie ze str. 5)

odwołanie może wpłynąć na obroty ciał niebieskich?

PROKURATOR: Niech oskarżony nie zapomina, iż stoi przed Trybunałem Inkwizycji, przeto niech się miarkuje w słowach...

GIORDANO: Proszę o wybaczenie, jeśli opacznie się wyraziłem, ale obowiązuję się każdej chwili dowiedzieć za pomocą każdego dostępnego obserwacji i rachunku, iż teza Kopernikańska jest słuszna.

PROKURATOR: Została potępiona i potępiani są wszyscy, którzy ją głoszą.

INKWIZYTOR: I nie może być prawdziwa, gdyż w księgach Jozue, rozdział dziesiąty, zapisano co następuje (otwiera biblię w miejscu założeń i czyta): „Stało tedy słońce w pół nieba i nie poruszyło się przez jeden dzień — nie był przedtem ani potem tak długi dzień, gdy usłuchał Pan głosu człowieka”. Tak było.

(Pauza).

PROKURATOR: Czy oskarżony nadal upiera się przy swoim błędzie?

GIORDANO: Jedna i ta sama rzecz nie może jednocześnie być prawdą i fałszem. Istnieje nieskończona przestrzeń, w której istnieją niezliczone światy podobne do naszej ziemi. Ziemia jest jedną z planet i krąży wokół słońca, które jest gwiazdą. Niezliczone gwiazdy tworzą w nieskończonej przestrzeni nieskończoną Naturę, którą nazywam Wszczęciem.

SEDZIA I: Czy oskarżony zdaje sobie sprawę z wagi tych słów?

INKWIZYTOR: Niechaj się zastanowi nad tym, co mówi. Skoro Trybunał tak długo ociągał się z potępieniem i wydaniem go Gubernatorowi Rzymu — to dlatego, ponieważ mieliśmy nadzieję, że oskarżony zawróci z błędnej drogi i opamięta się. Ale jest miara rzeczy i są granice. Niech więc wybiera.

GIORDANO: Nie jestem winien herezji. Odrzucenie teorii Ptolomeusza nie może mi być poczytane za herezję.

PROKURATOR: Niech się nie ucieka do daremnych wybiegów. Jego teza odrzuca Prawdę oczywistą, którą co dzień oglądamy i która jest porządkiem naszego myślenia.

SEDZIA I: Trwoga przejmuje samo przypuszczenie, iż jego teza mogłaby znaleźć drogę do ludzkiego umysłu. (Podnosi papier z akt przed nim leżących). Ale oto jest oświadczenie Giordana Bruno, iż wyrzeka się błędów, odwołuje, wyraża skruchę i żal, iż kiedykolwiek je głosił.

GIORDANO: To oświadczenie jest wymuszone torturą, byłem nieprzytomny z bólu.

SEDZIA I: Więc oskarżony oświadczenie cofa?

GIORDANO: Tak.

PROKURATOR: Zawsze kierował się nieposaromioną pycją, ale niech baczny, żeby go pyć do ostatecznej zguby nie przywiódł! Oto diałóg: „O Nieskończoności, Wszczęściu i Światach” i oto, co o sobie pisze: „Kryształ niebios przestał być dla mnie przegrodą i rozbiwszy je podniosłem się w Nieskończoność...”

INKWIZYTOR (zaskoczony): Tak napisał?

GIORDANO: Napisałem, ale to był wiersz, a poezja dopuszcza pewną przesadę w wyrażaniu uczuć.

PROKURATOR: A w „Uczcie Popielcowej”? (Czyta): „I oto Nolańczyk przeciął powietrze, przebiegł niebo, przeszedł między gwiazdami za krawiec światów. Obalili zbudowane wyobrażenia mury pierwszej, ósmej, dziesiątej i innych sfer...”

INKWIZYTOR (przerzywa): Tak napisał?

GIORDANO: Słowa — słowa — słowa. Potok słów. Dziś może wyraziłbym to inaczej. Proszę wybaczyć błędem młodości.

INKWIZYTOR: Niechaj opowie, jakimi drogami doszedł do doznania opisanego w „Uczcie Popielcowej”...

GIORDANO (po chwili): Chciałem wyrazić za pomocą obrazów — uczucia, które towarzyszą rozeznaniu prawdy. Rozeznanie długo dojrzewa. Myśli gromadzą się jak ciężkie chmury — ale ostateczne przyjęcie Prawdy jest chwilą, błyskawicą, przejmującym milczeniem... Wtedy przenika nas ośnienie i przedziwne uczucie nieziemskiego lotu... To chciałem wyrazić mówiąc, iż „Nolańczyk przeszedł granicę sfer”... Ta chwila przyniosła mi spełnienie ewangelicznej nadziei, iż poniżeni będą wywyższeni... A nikt ode mnie nie zaznał głębszego poniżenia i upadku.

INKWIZYTOR (słuchał go z brodą opartą na lasce, zgarbiony i milczący. Po chwili): Jak się wydobył z upadku... Czy modlił się, czy umarł?

GIORDANO: Przyszło nagle i bez zasługi z mej strony. Poczulem się niegodny tej chwili, która jest koroną ludzkiego żywota.

INKWIZYTOR: Niech poda okoliczności, w jakich to się stało.

GIORDANO: W czasie mej ucieczki z kalwińskiej Genewy, gdzie chciało mnie uwięzić. Na wysokiej przełęczy w górach noc mnie zaskoczyła, przygotowałem więc sobie posłanie ze świerkowych gałęzi i rozpalilem ognisko, ale mimo znużenia nie mogłem usnąć. W czystym powietrzu gwiazdy nade mną były tak bliskie, tak natężone, a ciemność między gwiazdami tak ciemna i tak otchłanna... iż zaczęła mnie ogarniać niezrozumiała trwoga... (Po chwili)... Wtedy dusza moja rozwarła się na Nieskończoność... (Pauza).

INKWIZYTOR (po chwili stuka gwałtownie łaską w podłogę. W drzwiach zjawia się Brat Odźwierny).

INKWIZYTOR (do odźwiernego): Odprowadzić oskarżonego do celi. (Do zaskoczonych sędziów): Ponieważ pora jest późna, dalsze przesłuchiwanie odkładamy na dzień jutrzejszy.

(Brat Odźwierny wyprowadza Giordana. Prokurator i Sędziowie z Pisarzami wychodzą).

Powrót do życia

MARIA GRZĘDZIŁSKA

OSTATNIA, znana zresztą z fragmentów powieści Jana Parandowskiego *) wiąże się przez niektórych bohaterów z *Niebem w płomieniach*. Teofil Grodzicki w nowym utworze występuje jako Zawisza, dowódca partyzantów AK, Irena będąca bohaterką *Powrotu do życia* w poprzednim ogniwie cyklu dopiero zapowiedziała się na świat; pani Zofia Grodzicka ukrywa się u hrabiny Sieniawskiej — Aliny Fajtówny, dawnej miłości Teofila, ojciec znajduje się w Londynie. Te nawiązujące momenty, choć drugoplanowe, ułatwiają ekspozycję, wprowadzają w wewnętrzny świat bohaterów, ale też wymagają uzupełnień informujących o wydarzeniach całego trzydziestolecia. Andrzej Jawień jest postacią nową, lecz to kolega Teofila z uniwersytetu lwowskiego, we wspomnieniach bohaterów powracają więc dość często żywe w pamięci autora i niektórych jego czytelników obrazy miasta lat dziecińczych.

Fabularny czas powieści rozrasta się w ten sposób, lecz akcja jej rozgrywa się w przeciągu jednego roku, od lipca 1943 do lipca 1944. Tytuł powieści w pierwotnie ogłoszonych fragmentach odnosił się tylko do początku, tj. do zjawienia się bohatera w Kozłowie. Istotnie chodziło w tym fragmencie o to, że Jawień wraca z Oświęcimia jak Łazarz z grobu, lecz tytuł ten nadany całości sugeruje szersze znaczenie: powrotu do życia całego kraju i całego narodu. Nikt jednak nie wraca taki sam i do takiego samego miejsca, powracający szli przez grób i zaszli do ziemi przeobrażonej przez wojnę.

W powieści Parandowskiego światła i ciemności rozłożone są bardzo jasno w ten sposób — może w uproszczeniu — walka z okupantem ukazuje się w aspekcie zmagania zła i dobra; nie ma tu mity „dobrego Niemca”, mogą być nijacy, najczęściej jednak mają niedwuznaczne oblicze hitlerowców. Takim jest Kreislandwirt Müller, żądający rozstrzelania 50 Polaków w zamian za przypadkową śmierć żony. Nie inaczej wygląda ten oficer, który na widok portretu Ireny, dzieła Jawienia, niszczy obraz i strzela do artysty. „Ten portret był wielkim dziełem sztuki, a Niemiec żył w przekonaniu, że dwunożne istoty, które zamieszkują ten kraj, nie są zdolne do stworzenia dzieła sztuki” — komentuje zdarzenie profesor Bułat.

Parandowski nie wspomina wiele o przeżyciach Jawienia w lagrze, niechętnie też mówi o tym sam Jawień. Obóz zagłady powraca w jego snach, szczególnie wtedy, gdy leży ranny po zniszczeniu obrazu. Wydany na pastwę snu lub maligny przeżywa na nowo wszystko, czego zaznał jako więzień

INKWIZYTOR (siedzi nieporuszony w poprzedniej pozycji z brodą opartą na lasce).

(KURTYNA)

Eryk Erben

KRZYSZTOF
HENISZ
NOC I DZIEŃ
(CERAMIKA)

Z WYSTAWY
W LUBLINIE

nr 10856, co slyszal z ust oprawcy. „Owe słowa maly te sama silę, co gest podniesionego palca tajemniczej postaci, która na mistycznych malowidłach egipskich pozwala nieboszczykowi wrócić z zaświatów na ziemię pod pieczęcią milczenia”. Jawień dostal się jednakże do lagru jako ofiara japoŃki i dopiero po wyjściu na wolność poznaje najwazniejszy nurt życia pod okupacją: niedozial egzekucje 50 ofiar wyzwolonych przez ludzi Zawiszy, wilyte partyzantów we dworze Niemyskich i wreszcie tajną szkołę w tym przytulisku wojennych tułaczy.

Zastanowić by się można, czy to nowe Soplicowo czy nowy Korczyn (zwie się Kozłów i leży w stronach Sandomierza czy Radomia) pisarz przedobrzył? Wojna z ludzi wysiedlonych, poszukiwanych przez gestapo itd. stworzyła jakiś specyficzny rodzaj rezydentów, innych niż np. Orzelscy w *Nad Niemnem*. Gospodarze Kozłowa Niemyscy są zresztą w jakimś sensie ostatni. Autor wskazuje przyczyny dia których można odejść ich pożegnając dobrym słowem. Ludzie ci w ciągu poprzedniego stulecia głęboko się zmienili: Olejne obrazy antenatów sprzed rozbiorów i pluszowy album z XIX wieku są dokumentem tych przeobrażeń, z których ostatni Niemyscy wyszli jako ludzie dobrzy. „Po tych wszystkich twarzach przeszedł wiek XIX. Kształtowały je chwile rozpacy i nadziei, burzy i rezygnacji, rozwagi i uczciwej pracy”. Bułat wylicza: „gromowe chmury poezji romantycznej, Maciejowice, Ostrołękę, powstania, lecz nie tylko: kolej, wpływ cywilizacji miejskiej, przekraczający nazwiska portier hotelowy — wszystko to pozabawilo szlachetę dawnej fantazji. W ten sposób dzisiejszy właściciel Kozłowa zdobył czynną miłość bliźniego. Cóż — i to duzo, bo kogoz tam nie ma! Snobka guwernantka z pańskich palaców uczy francuskiego chłopskie dzieci, Bułat — poszukiwany przez hitlerowców za pracę o Obotrzytach — oficjalnie wozil mlekó na kontyngent, nieoficjalnie prowadzil szkołę i utrzymuje punkt kontaktowy. Jest i Smęda, polonista nieco nieprzytomny światu, dziennikarz Czado, Jawień i Irena Sosnowska, recte z Grodzickich Chrostkowa. Tak to wyglada, jakby Niemyscy tuż przed zakonczeniem swojego społecznego bytu mieli do wypelnienia swą misję i jakby ją wypelnili pomimo strachu, pomimo koniecznych targów z hitlerowcami. Powieść konczy się w chwili, gdy na lewy brzeg Wisly przeszlza część Czerwonej Armii. Z tego zapewne miejsca zimą ruszy wielka ofensywa na zachód. Lecz Niemyscy już latem opuszczają Kozłów. „Bóg czasu znów postapil krokiera” — jak czytamy w *Beniowskim*. Likwidacja Niemyskich konczy się bez niedoboru, zwłaszcza że dawal niezłą bazę materialną partyzantom. A przeciez pani Konstancja dziwi się nainwie, że mogą być rysunki w grotach pirenejskich sprzed 40 tysięcy lat. Przeciż według Pisma świętego ludzkość liczy od Adama do Chrystusa tylko 4 tysiące. Można jak Jawień wzruszać się tą średniowieczną mentalnością, miał ją w *Niebie w płomieniach* ksiądz Skromny. Tego rodzaju momenty przynoszą „ostatnim” nieco rozgrzeszającego humoru.

Zestawienie z Soplicowem o tyle jest uzasadnione, że Parandowskiego twórczość dość często stara się chwycić znikający kształt przeszłości, było tak w pierwszym ogniwie cyklu, jest tak i w *Zegarze Słonecznym*. Lecz powieść to tylko jedno ogniwo czasu. W lipcu 1944, gdy Jawień i jego żona Irena odchodzą z Kozłowa, Teofil ma udać się do Warszawy. Oni udadzą się do Krakowa, a więc istotnie powroca do życia w odmienionej postaci. Teofil, tak zagadkowy w tej powieści, z niedopowiedzianą ewolucją duchową lat trzydziestu — nie wróci. Wydaje się jednak, że autor nie rozstał się z nim na zawsze. Potrzebne jest ogniwo pośrednie, którego zarys w zbył pośpieszny sposób podany jest w dialogu *Powrotu do życia*. To tylko, pomimo ciekawego toku wypowiedzi bohaterów, przeciąża konstrukcję bardzo jednolitej i pięknej prozą napisanej książki.

Zestawienie z Soplicowem o tyle jest uzasadnione, że Parandowskiego twórczość dość często stara się chwycić znikający kształt przeszłości, było tak w pierwszym ogniwie cyklu, jest tak i w *Zegarze Słonecznym*. Lecz powieść to tylko jedno ogniwo czasu. W lipcu 1944, gdy Jawień i jego żona Irena odchodzą z Kozłowa, Teofil ma udać się do Warszawy. Oni udadzą się do Krakowa, a więc istotnie powroca do życia w odmienionej postaci. Teofil, tak zagadkowy w tej powieści, z niedopowiedzianą ewolucją duchową lat trzydziestu — nie wróci. Wydaje się jednak, że autor nie rozstał się z nim na zawsze. Potrzebne jest ogniwo pośrednie, którego zarys w zbył pośpieszny sposób podany jest w dialogu *Powrotu do życia*. To tylko, pomimo ciekawego toku wypowiedzi bohaterów, przeciąża konstrukcję bardzo jednolitej i pięknej prozą napisanej książki.

*) Jan Parandowski: „Powrót do życia”. Poznań, Pallatinum, 1961.



Z WYSTAWY
W LUBLINIE



Fot. E. Dobrowolski

Dr Tadeusz Przytkowski przy pracy

grzymskiej łaski rzucający na ślankę zodiaku, wykazywał czas modłów. Gnomon był również znany naszym praojcom Słowianom. Lecz oddajmy tutaj głos najwybitniejszemu znawcy tych spraw w kraju i na świecie, dr Tadeuszowi Przytkowskiemu, który wspaniale swoje zbiory przekazuje państwu. Píše on: „W Odrach, w Borach Tucholskich, mamy oryginalne, jeszcze naukowo dostatecznie nie zbada- ne, założenie kamiennych wielkich kregów stanowiących grobowce, które mogły być zarazem rodzajem ołtarzy, prowizorycznie datowane na pierwsze wieki naszej ery. Główna oś tych za- łożeń pokrywa się zdumiewająco do- kładnie z linią wschodu słońca w dzień sobótka... Od czasu kiedy to napisa- no, badania na pewno daleko posu- nęły się naprzód: mnie choździło tu raczej o podkreślenie, że zaintereso- wanie tymi zagadnieniami dawno nur- towało naszych przodków, a teraz...

GNOMONIKA I PARANTELE

Ród Przytkowskich jest równie daw- ny, jak sławny. Herbu Hadwan — wywodzą się z podkrakowskich Przytko- wic (dzisiaj Przytkowice). W Jędrze- jowie osiedlili się dopiero w XIX wieku. A przedtem... Początek zbio- rom dał Jan Józef Przytkowski, „as- tronomii profesor w Przesławnej Akademii Krakowskiej”. Profesor był wnukiem Konstantego, ostatniego w rodzinie wyznawcy Braci Polskich (Socynianów) oraz Agnieszki, praw- nuczki Fausta Socyna. Wspaniała re- nesansowa biblioteka rodzinna uległa zniszczeniu w czasie pogromu arian. A musiała zawierać ciekawe pozycje, bo Konstanty był bratankiem XVII- wiecznego myśliciela i poety. Samuel znowu był krewnym Stanisława Lu- bienieckiego, autora słynnego dzieła o kometach i współpracownikiem naj- sławniejszego po Koperniku astronoma polskiego, Jana Hewellusza. Samuel był wnukiem Jana Przytkowskiego, który w roku 1572 (zachował się z tych czasów cenny dokument) pier- wszy w Europie „subditos liberos fecit” — uwolnił swoich poddanych z pań- szczyzny, jako ludzi równych sobie, a zarazem był potomkiem Macieja Przytkowskiego, zapisanego na uni- wersytet w Krakowie w 1444 roku. Tadeusz Przytkowski jest 22 dok- torem w rodzinie i przysposobiam swego syna do niełatwej pracy kustosa z roku na rok rosnących zbiorów, za- równo gnomonicznych, jak i bibliotec- znych

Od krakowskiego kalendarza do wy- kładów w Paryżu i Londynie — na- pisałbym: daleka droga, znacząca wy- siłkiem i trudem całych (Przytkow- skich) pokoleń — ale byłoby to zbyt patetyczne. Aby cierpliwy czytelnik artykułu został choć w części wynag- rodzony, przytoczę gwoli dobrze za- służonej dystrykcji, w pełnym brzmie- niu kartę tytułową z rodziną pieczo- łowitością przechowywanej publikacji.

„Kalendarz Polski i Ruski w któ- rym Święta roczne i Biegi niebieskie. Aspekty, Wybory, Czas siania, Szcze- pienia, Krwie puszczenia, Lekarstw zażywania, Wschód i Zachód Słońca ect. należytem porządkiem ułożone y opisane na Rok Pański MDCCXII, który jest po Przystępnym pierwszy a po Przybyszowym drugi według komputu Rzymskiego, a według Grec- kiego Przybyszowy — przez M. Jana Józefa Przytkowskiego w Przesławnej Akademii Krakowskiej Nauk Wzwo- lonej y Filozofii Doktora, w Kollu- gium Mnieyszym Ordynaryjnego Astro- nomii Profesora — z należyłą pil- nością wyrachowany...”

Nie starczyłoby na pewno tej strony na wyliczenie co cenniejszych dzieł

Książki z biblioteki Jana Józefa Przytkowskiego

Fot. E. Dobrowolski



FRANCISZEK HALAS

**U grobu
naszej pani**

(Z poematu „Nasza pani
Bożena Niemcova”)

Na grób chodzą deszcze
czeszele deszcze czeszele
me paluszką czeszele
Naszą panią czeszele
pod darnią śpi
Ciszej Ciszej deszcze
nie budźcie Jej czeszele
pięknie się Jej śni

Nie dba deszczu ręka
puka próżno nęka
kapliczkę Jej czoła
Puka kropla w deskę
za babunię jedna lezka
za babunię druga lezka
ta obudzić zdola

Na grób chodzą deszcze
Jeszcze Jeszcze Jeszcze
me paluszką deszcze
Naszą panią czeszele
pozwólcie Jej spać
Głaszele tylko deszcze
czas jest czas jest jeszcze
niech nie musi lkać

Przełożył

Kazimierz Andrzej Jaworski

i traktatów generalnego spadkobiercy rodzinnych pasyj „z dobrodziejstwem inwentarza”. Dość, że nie ma dziś w skali światowej poważniejszej im- prezy naukowej, zjazdu czy konfe- rencji, na którą nie zaproszono by współczesnego nam i rezydującego uparcie w Jędrzejowie, historyka kul- tury i nauki, współpracownika Pol- skiej Akademii Nauk i członka bodaj wszystkich międzynarodowych stowa- rzyszeń astronomicznych, działających pod patronatem UNESCO, dr Tadeusza Przytkowskiego. Dość, że jest to czło- wiek wart osobnej powieści (co mu się już zresztą zdarzało) i bohater stu- z górą reportaży w czasopismach kra- jowych i zagranicznych.

Wykonanie zegara słonecznego jest pracą wcale skomplikowaną. Wymaga bowiem przede wszystkim niesłychanie żmudnych i precyzyjnych wyliczeń („z dokładnością do jednej setnej”), a następnie przeniesienia wszystkiego na mur i utrwalenie systemem sgraffito. Ścianę trzeba wprawdzie pokryć farbą czarną, nakładając potem na nią białą lub żółtą, wyskrobywaną wed- ług rysunku do ciemnej. Obie prace wykonuje dr Przytkowski oso- biście. Asystowałem przy robocie ze- gara, rzezanego czy rytego na ścianie zabytkowego Opactwa Cystersów w Jędrzejowie. (Zegar na kościele far- ny jest dziełem jego Ojca). Artysta- grafik (bo jest nim jednocześnie autor astronomicznych wyliczeń) balansował między niebem a ziemią na chybli- wym rusztowaniu, klnąc i śpiewając na przemian. Obsługa była niemrawa — i tej tylko okoliczności zawdzię- czam, że mimo równie ciężkiej wagi dopuszczony zostałem do podawania na przemian ryłka, wapna i narzędzi. Od tego czasu (1956) minęły lata, ale współprace jakoś dobrze wspominamy. A ponieważ trudno pomówić, aby wszyscy gnomonami zainteresowani

(Dokończenie na str. 10)

MIASTO SŁONECZNYCH ZEGARÓW

JACEK JEDLIŃSKI

PIERWSZE W ŚWIECIE

A w każdym razie — w Europie. Małe, powiatowe miasto w centralnej Polsce. Czyżby nie przesada? Odrobinę cierpliwości — posłuchajcie. Zanim jednak zaspokoje ciekawość i uzasadni śmiały tytuł wstępu, parę słów o dziejach jednego z tysięcy osiedli, którego początki „tona w pomroce dziejów”. Historię kieleckiego Ję- drzejowa, ongiś Brzeźnicy (o owym bowiem będę mówił sławnym mieście), przesunąć nam przyjdzie w głąb o całe wieki. W okolicy pobliskiego Sokolowa natrafili archeolodzy na ślady osady z epoki kamienia. Monety wykopane na starym podmiejskim cmentarzystku wskazują na żywe stosunki handlowe z Imperium Romanum. W niedalekim Skroniowie znaleziono monetę z wize- runkiem Dioklecjana. Odkrycie „dy- marek” w okolicach Świętego Krzyża nadaje cechy prawdopodobieństwa ust- nemu przekazowi, że zbroje rzymskich legionistów kowane były pod Łysą Górą (a zupełnie na pewno stąd bra- no surowiec)... Samo osiedle, nawodne, położone u splywu znacznie podów- czas potężniejszych: Brzeźnicy i Ja- sionki, było zapewne osadą targową i miejscem przede wszystkim handlu wymiennego. Nazwa „Andreovia” za- chowała się w księgach miejskich i kościelnych. W XII wieku przywędro- wali tu Cystersi, sprowadzeni — z wyraźnym pominięciem Niemiec — ze słonecznej Burgundii. Im oraz ere- mitom z Wąchocka i Koprzywnicy zawdzięczamy zachowanie dostojnych w swej kamiennej powadze zabytko- wych budowli romańskich, które ściąg-ają tu uczonych z szerokiego świata. Ale murów starych jest wiele — i ominięliby pisarze i badacze Jędrze- jów, gdyby nie założone tu przez Przytkowskich (ojca Feliksa i syna Tadeusza) Muzeum Zegarów Słonecz- nych, które ilością „gnomonów” pobija słynne British Muzeum, a oryginalnością kolekcji przoduje zdecy- dowanie w skali światowej.

NIEWINNIE SIĘ ZACZEŁO

Każdy z nas ma jakieś „hobby”. Dawniej nawet się to tak nie nazy- wało i na Doktora Feliksa patrzone z pobłażliwym wyrozumieniem, kiedy zamiast uczciwego honorarium (a wzię-

tym był lekarzem) brał skwapliwie jakieś rupiecie ze strychu czy mocno wyczytaną książeczkę. Pan Feliks był bibliofilem — i to szczególnego auto- ramentu. Ta pasja wiązała się ze szczególnymi zainteresowaniami dla traktatów filozoficzno-matematycznych. A osobnej maestrii było trzeba, by z przywiezionych przez Pana Konsyliar- za... gnomonów wydobyć na światło dzienne jeszcze jeden okaz, jak się dalej okaże, równie starodaw- ny, co ciekawy. Nie był to zresztą jedyny rodzaj proveniencji oglądanych przez nas dzisiaj eksponatów. Skupo- wał je także, w kraju i za granicą, a usłużył antykwariusz z Niemiec, Belgii i Francji zasypywali naszego kolekcjonera ofertami. Praktyka była duża i jakoś się fundusze znajdowały. Zbiory zajmowały coraz więcej miejsca i przed ich miłą inwazją trzeba było przenieść lary i penaty w mniej re- prezentacyjne oficyny.

Gnomon — znaczy znak, potem ze- gar oczywista — słoneczny. I tu z miejsca uprzedzić trzeba zwiedzają- cych, że zegary te „działają” oczy- wiście w pełnym słońcu. I że nie konieczne muszą być ryte na ścia- nach wież, czy zabytkowych budowli. Lata całe — co mówię całe wieki od zarania ludzkiej kultury materialnej — używane były do mierzenia czasu w najrozmaitszym nieraz bardzo wy- myślnym kształcie... Oto miniaturowe zegary słoneczne chińskie z kości sło- niowej, ozdobione szylkretem. Były niegdyś przeznaczone tylko dla kapła- nów. Co ciekawsze — bynajmniej nie pokazywały (jak nowoczesne — o czym potem) godzin dnia, ale wskazywały początek nabożeństwa. Sakralne ich przeznaczenie znalazło swój wyraz także w kościele katolickim. Oto w roku 606 papież Sabiniusz wydaje zarządzenie, aby zegar słoneczny znaj- dował się na każdym kościele, oczy- wista nie tylko (jak dzisiaj) jako element zdobniczy, ale obarczony zu- pełnie praktycznym zadaniem. Gnomo- nem (czyli wskazówką) był tu (i tak jest dzisiaj) umieszczony na ścianie pręt żelazny, którego cień padał na kreski, ryte w murze czy kamieniu, a oznaczające porę nabożeństwa, ogłaszanego wernym dzwonami. Wy- nalazek był z dawien dawna znany indyjskim fakirom. Ponoć cień piel-

pięknego „Rubina”. Nie bardzo wiedział co robić z tą machiną, przeto jednego dnia przystąpił do szkoły ogromne pudło z aparatem.

Zmontowaliśmy antenę i uruchomili aparat. Odbiór okazał się nadspodziewanie dobry. Zaczęliśmy więc namawiać ludzi, aby przychodzili na seanse. Przyszli ten i ów, popatrzyli, pokręcił głową nad „zmysłowością” techniki. A po wsi zaczęły chodzić najprzeróżniejsze wieści.

Pewnego dnia zgłosiły się dwie babiny z prośbą o prześwietlenie. „Bo pożałujcie tu taki aparat...” Innym razem ktoś połamał antenę, a na jej miejsce wetknął krzyż z nabożnym obrazkiem.

Dowiedzieliśmy się jednak o telewizorze młodzież z pobliskiego PGR-u i zaczęła tłumnie przybywać wieczorami do szkoły. To już było coś, chociaż publiczność ta wyglądała zgola nie po wersalsku.

Przychodzili prosto z roboty, w zabrudzonych rękach i smarem waciakach, rozwalali się na ławkach, pluli na podłogę i wymieniaли głośno dwuznaczne uwagi na temat urody spikerek.

Pewnego dnia zażartowałem:

— Podobna się wam Dziedzicówna, ale wy się jej na pewno w tych brudnych kufajkach nie podobacie!

POKAZ MODY

Myślałem, że odpowiedzą mi grubiaństwem, a tymczasem na następną audycję większość przyszła ogolona i umyta, w przyzwoitych garniturach. I z biegiem czasu tak się już przyjęło, że na telewizję przychodzi się jak na niedzielną wizytę.

Po młodzieży dołączyli powoli starsi. Dziś największa sala szkolna nie może pomieścić tych, którzy przychodzą na „Kobrę”...

Z przyjemnością słuchałem opowiadania. Historia była istotnie zajmująca. Ale resztki uprzedzeń zostały.

— No tak — odezwał się z przekąsem — „Kobra”, kryminał, sensacja. Ale czy to można nazwać pracą kulturalną? Telewizję — nazwał ktoś trafnie „gumą do żucia dla oczu”. To bardzo powierzchowna i mało wybredna forma rozrywki.

— Być może — uśmiechnął się nieznamy — chociaż nie tylko „Kobra” jest w telewizji. A poza tym stopniowo wprowadzamy inne zajęcia — odczyty, dyskusje, wieczorki taneczne. Dzięki temu dokonaliśmy się u nas wielka rzecz: po wielu latach zmniejszyła się w naszym GS-ie ilość wypitej wódki i mniej jest tradycyjnych wiejskich bójek. Czy to też rzecz bez znaczenia?

ZAJĘCI rozmową mineliśmy Radzyna i przejechaliliśmy spory kawałek drogi. Podczas przejazdu przez jakąś dużą, oświetloną wieś, pasażer zaproponował niespodziewanie:

— Może zatrzymamy się tu na chwilę i zaglądnijemy do szkoły? To jest Suchowola. Mam tu znajomych nauczycieli. Bardzo ciekawi ludzie, starzy działacze wiejscy.

Mimo dość późnej pory budynek szkoły był rześkie oświetlony i panował przy nim duży ruch. Wyszliśmy z samochodu i otoczeni ciekawymi spojrzami, weszliśmy do szkoły. Po korytarzu biegły niezmiernie czymś podniecone starsze i młodsze dziewczęta. Uwagę zwracały ich kolorowe, niecodzienne w tym środowisku sukienki. Nie było jednak czasu na rozważanie tej sprawy. Oto uprzedzony przez naszego przygodnego pasażera biegł do nas kierownik szkoły, wołając z daleka:

— Prasa, redaktorzy — prosimy, bardzo prosimy!

W parę chwil później siedzieliśmy na honorowych miejscach sporej szkolnej sali wypełnionej do ostatniego miejsca tłumem kobiet, mężczyzn i dzieci. Przejęty kierownik mówił bez ustanku:

„Zorganizowaliśmy kurs kroju i szycia dla kobiet wiejskich. Zainteresowanie było ogromne, 40 uczestniczek. Młode dziewczęta i starsze gospodynie. Dziś

właśnie zakończenie kursu. Same uczestniczki przygotowały wielką niespodziankę.

„Niespodzianka” zaczęła się niezbyt ciekawie. Na scenie pojawił się harmonista i zaczął na dość sfatygowanej harmonii wygrywać coś, co przypominało „Pamiętasz była jesień”. Ale oto w takt melodii zaczęły na scenę wychodzić uczestniczki kursu prezentując uszyte przez siebie kreacje. To był pokaz mody.

Nielatwo było wiejskim dziewczętom występować w roli modelki. Ruszały się na scenie ciężko i niezgrabnie. Nie wiedziały co robić ze swymi czerwonymi od pracy rękami. Ale schodziły ze sceny podniecone i szczęśliwe. Bo każde wystąpienie witał tak gromki grzmot oklasków, że nagradzał wszystko. Po dziewczętach, wyszły dorosłe kobiety, potem dzieci, a w końcu najbardziej oniesmieleni i stremowani mężczyźni. Prezentowano sukienki i męskie koszule, fartuchy robocze i odświętne bluzki, szkolne mundurki i komplety dla maluchów.

Nie wszystko reprezentowało najwyższy poziom wykonania. Nie przypominało to modeli Diora lub chociażby „Mody Polskiej”. Ale przecież działo się to w Suchowoli — niedaleko wsi, w której 6 lat temu jeden z chłopów zamordował sąsiada, gdyż wziął go za diabła...

POKAZ się skończył. Artysta z harmonią nie schodził jednak z „placu boju”. Zawzięta się tradycyjna zabawa. Do tańca ruszyła cała sala. Niestety, pamięć o dalekiej i trudnej drodze nie pozwoiliła nam na dalsze pozostawanie w szkole. Znow wóz nasz zaczął ciężko i wolno przebiegać się przez gęste, szary mur mgły. Powoli mijaly kilometry, uciekały w dal mdle światła mijanych wsi. Ale już nie to przykuwało naszą uwagę.

Dyskutowałem dalej ze swym pasażerem na temat pracy kulturalnej. Celowo, nawet prowokacyjnie, wyśmiewałem wciąż nowe wątpliwości i zastrzeżenia. Nie chciałem pogodzić się z podciąganiem pod pojęcie pracy kulturalnej miłych i pożytecznych imprez tego typu. Ale on zawzięcie i żarliwie bronił swych pozycji... Mówił:

— Nazywa pan takie imprezy akcją oświatowo-cywilizacyjną, która z kulturą mało ma wspólnego... Na pewno teatr poezji lub odczyt o literaturze mają większą głębię intelektualną... Szuka pan zespołów regionalnych, folkloru wsi podlaskiej. To bardzo piękne rzeczy, ale dla młodzieży wiejskiej nie stanowią dość atrakcyjnych wartości. Oni chcą, by u nich było tak jak w mieście, a te pragnienia i tęsknoty kształtują według najbardziej efektywnych, choć na pewno powierzchownych przykładów. Moda, technika — do tych rzeczy nie trzeba nikogo naganiać. Sam pan dzisiaj widział...

...Myszką trąca stare schematy i stary typ działacza kulturalnego każącego na siłę ubierać zespoły w stroje ludowe lub też odgrywać im naiwne jednoaktówki z patriotycznym wydźwiękiem i umoralniającym zakończeniem...

— A więc chce pan — wtrąciłem — wychować cywilizowanych barbarzyńców posługujących się wszystkimi atrybutami cywilizacji, a równocześnie nie wiedzącymi, kim był Mickiewicz, Chopin czy Żeromski? Do czego to doprowadzi?

— Nie. To jest skrajność zupełnie absurda. Spróbujmy jednak pogodzić te dwie rzeczy. Nie dyskutujmy co lepsze: książka czy telewizor. Dajmy jedno i drugie. Uprzysiężmy ludziom telewizję, magnetofony, warsztaty modelarskie, żurnale mody, słowem — to wszystko, co ma dla nich magiczny urok nowoczesności. A wtedy praca kulturalno-oświatowa nie będzie jakąś pańszczyzną, przeciwnie — znajdzie na wsi tysiące i dziesiątki tysięcy zwolenników i wielbicieli. Warto chyba nad tym się zastanowić...

TAK było przez całą drogę. Nie posadzałem nigdy skromnego, wiejskiego nauczyciela o tak skrytykowane, zdecydowane poglądy. Nie wiadomo, kiedy ukazała się przed nami prosta, jaskrawo oświetlona ulica. To był już Lublin...

Nie dokończyliśmy dyskusji. Postanowiliśmy wznowić ją za kilka dni na spotkaniu w Lublinie. Kurs miał trwać cały tydzień.

TELEFON przyniósł jednak rozczarowanie. Kierownik kursu bardzo ucieszył się, że prasa zainteresowała się jego działalnością. Kiedy jednak podałem nazwisko młodego nauczyciela, odpowiedział z przekąsem:

a także geografia i chemia. Młodzież zdaje więc sobie dobrze sprawę z tego, czego nie umie. Jest jeszcze trochę czasu na powtórzenie i uzupełnienie wiadomości. Wielu uczniów na własną rękę stara się już usuwać powstałe luki w przedmiotach, chociaż nie zawsze z efektem.

„Siedzę wieczorami i chcę pojąć właśnie ulamki piętrowe. Wykonuję działania, obliczenia, ale to nic nie daje”.

„Myślałem, że język polski sprawi mi trudność. Literatura idzie mi dobrze. Tylko gramatyka źle. W szkole wytłumaczone jest dobrze i wydaje mi się, że zrozumiałam, ale w domu jest inaczej. Muszę poświęcać dużo czasu, by na nowo zrozumieć”.

Ostatnie pytanie ankiety dotyczyło spraw technicznych i wynalazków dzisiejszej epoki, które najbardziej pociągają czternastoletków. Na większą liczbę głosów uzyskał Kosmos. Pięć dziewczynka:

„Interesują mnie sprawy Kosmosu. Chciałabym wiedzieć, jak tam jest na Księżycu. Czy są tam ludzie i czy jest normalne życie jak na Ziemi?”

A chłopcy:

„Ciekawi mnie, czy ZSRR wysła na inne planety człowieka”.

„Interesuje mnie wyposażenie rakiet i samolotów najnowocześniejszego typu”.

„To ciekawe, kto wylądował na jakiejś planecie: człowiek z ZSRR czy USA?”

„Najbardziej interesuje mnie technika jądrowa np. budowa reaktorów atomowych i zasada, na jakiej działają, budowa silników atomowych itp”.

„Najbardziej interesuje mnie budowa i dalszy rozwój statków atomowych”.

Zainteresowania uczniów są więc zgodne z duchem epoki. To nie tylko starsze społeczeństwo, ale właśnie, bodaj czy nie bardziej, młodzież interesuje Kosmos i budowa reaktorów atomowych. Przed młodzieżą, Kolumbami XX wieku, stoją piękne i poważne problemy, które mogą być zrozumiane tylko wtedy, kiedy pojmie się — niestety — właśnie nowoczesne ulamki piętrowe, czy też potrafi przelać na papier swoje myśli w poprawnej formie. Mimo daleko sięgających marzeń

KULTURA W OFLAGU

ków. Drewniane karabele błyszcząły jak damascena. Dekoracje z papieru jak masywne budowle. W tym wszystkim, bez fachowego warsztatu, najprymitywniejszymi środkami dokonywano niezwykle wycynów, wywołując artystyczne efekty.

W miarę rozwoju teatru obserwowaliśmy uprzączenie środków dekoratorskich w kierunku pogłębiania sceny i reżyserskie eksperymenty unowocześniania, często idące za daleko w swobodzie dysponowania tekstem. Ale w obozie mógł sobie reżyser wydziwiać ile chciał, krytyk nie siedział mu na karku. On się bawił i myśmy się bawili.

Po „Zemście” wystawiono „Świt, dzień i noc”, potem „Kupca weneckiego”, następnie — „Judasza”.

Z Szekspirem i Roztworowskim reżyser postąpił sobie wprost frywolnie. Na przykład „Kupiec wenecki” został potraktowany ściśle rewlowo, z redukcjami, przeróbkami, doróbkami, jednym słowem na weselo. Dorobiono mu nowoczesnych komentatorów wyfraczonych, występujących na scenicznej rampie, kontrastujących z Szekspirowskim stylem i epoką.

„Judasza”, wystawiony także eksperymentalnie, wywołał niezadowolone i protesty. Ponieważ przedstawienie odbywało się w okresie wielkopostnym, zniekształcono sztukę, robiąc z niej kilka obrazów religijnej mistyki. Z postacią Judasza załatwiono się bezceremonialnie, pozostawiając go w roli jedynie płytkiego zdrajcy, a przez pominięcie sceny kajania się, tej sceny, dla której właściwie sztuka została napisana a w której nasz genialny Solski ukazał całą swą potęgę, położono sztukę.

Teatr obozowy grał stale, z wyjątkiem nakazanych przerw stosowanych przez komendę jako zbiorowa kara. Wystawił szereg rewii. Te cieszyły się największym powodzeniem.

Młodzi koledzy, grający role kobiece, swoje walory mimiczne i głosowe doprowadzili do perfekcji. Podziwialiśmy ich alty i soprany w partiach wokalnych. Zrobione talia, biust, koafura, niewieści wdziek w ruchu, geście, wyrazie, dobrze udane i stosowane z pewną zalotnością, wywoływały na widowni nie tylko aplauz, ale i komplementy. Primadonny, ukazując się na kolobieg, podmalowane i krygujące się, wodziły za sobą gromadki adoratorów, co wyglądało na erotyczne odchylenia, gorszyło bigotów, a przecież był tylko zabawą, wyrazem tęsknoty młodzieży do normalnego życia.

Kolega Przyłuski napisał według powieści Woodhousera, noszącej tytuł „Panna dr Sally”, miłą komedię muzyczną „Panna i rozwódka”. Wystawiono ją dobrze, efektywnie. Reżyserował Niedźwiedzki, grając rolę wuja. Świętny był Przyłuski w roli kamerdynera. Zaś obozowe primadonny, ppor. N. i ppor. T., przeszły swoje możliwości. Jako osoba spoza sceny, służył Krupski. Sztuka osiągnęła rekordową frekwencję. Odpowiadała jenieckim wymaganiom. Chodziło przecież o wywołanie miłego i zdrowego efektu, przeniesienie nas do tak upragnionego świata bytowania na wolności. Bez makabry, bez wojennych podrygów, bez szczerkania żelazem. Naturalnie, eksperymentalni skrytykowali sztukę, zarzucając jej naturalizm, to znów realizm, a myśmy wcale nie pragnęli kontemplacji w teatrze, czy targającego nam nerwy dziwo-twórstwa.

Po przybyciu do nas warszawskich powstańców, a wśród nich sporej grupki zawodowych aktorów z dyrektorem Schillerem na czele, wystawiono szereg nowych utworów estradowo, w salce „Pod cebulką”. Warszawscy aktorzy poświęcili szereg wieczorów na zaznajomienie nas z materiałem scenicznym, jaki dawano na estradach stolicy pod okupacją.

Ciż aktorzy wydawali czasopismo powielane lokalną metodą, noszące tytuł „Teatr obozowy”; opublikowano w nim szereg interesujących artykułów. Mistrz Schiller był czytany z największą uwagą. Tyle o teatrze. Dobrze spełnił swoje posłannictwo. Wzmocnił w nas siłę wytrwania.

Józef Kazimierz Kowalski

— Ach, to panu redaktorowi chodzi o tego dziwaka? Nie, nie ma go już u nas. Pokłócił się ze wszystkimi i wrócił na wieś...

Lesław Gnot

TRUDNA DECYZJA

interesowaniami i zdolnościami, ma poważne kłopoty z ojcem:

„Tatę sprzeciwia się, bo chciałby, żebym w przyszłości poszła studiować prawo”.

Na szczęście tych zdań przeciwnych rodziców jest niewiele. Zresztą do końca roku zostały dwa okresy, może jeszcze dadzą się przekonać przez dzieci i na zebraniach — przez wychowawcę.

Jakich trudności najbardziej boją się dzieci przy egzaminie i dlaczego?

Dużo jest wypowiedzi świadczących o tym, że nاپotykalą trudności w matematyce (ulamki piętrowe, rozwiązywanie zadań z treścią, w ogóle brak zdolności, niewiedza) spowodowana opuszczaniem lekcji), język polski („nie mogę zapamiętać formułek gramatycznych”, „nie opanowałem ortografii”, „mam braki w lekturze” itd.),

HENRYK ZAWISTOWSKI

Wiatr

To wiatr za oknami
Przygrywa jesień
Ukolywany świat
Spi spokojnie

Wiatr godzin nie liczy
Gwiazdamy świeci wiekom
Stróżowi kręci miodłą
I nie myśli o wojnie.

czeka ich bliższa rzeczywistość — start w nowo wybranej średniej szkole, do której powinni być gruntownie przygotowani. W każdym bądź razie chodzi o to, by zgodnie z nowymi założeniami programowymi — mam na myśli ośmioletnią szkołę podstawową — przybliżyć szkołę bardziej do współczesnego życia.

Elżbieta Rosiak

PROFILE

AUTONOMICZNA KOLUMNA MŁODYCH

KAZDA epoka ma swoją Georges Sand i panią Bovary, swoją Heterę i „femme fleur”, swojego Tolstoja i Zolę, swoje czerwone i czarne maski bławów, szalibierzy, hechtstaplerów, wielkich dam i kurtyzan. Bo też trzymamy kulturowe, moralne i estetyczne są nieśmiertelne i pasują do każdej sytuacji historycznej. Zmieniają się maski, kolory, haśła i ludzie, przesunięci w czasie, inni tą nieodczuwającą innością, jaką narzuca epoka, koniunktura lub smak, ale zasada, typ, pozostają te same.

Mawiano dawniej bardzo często, że likwidując kapitalizm, zlikwidujemy „burżuazję”, a w biednym lumpie raz na zawsze znieśliśmy kompleksy społeczno-rasowe. Tymczasem pierwsza strona barykady przeszła do podziemi, pogodziła się ekonomicznie, ale każdy z tych ludzi wewnętrznie pozostał miniaturowym kapitalizmem, z jego „panie dziejku”, z jego monoklami, brelokami, Konstytucją 3-Maja i Piłsudskim, z ich bigoterią, dulszczyzną, blichtrzem kulturalnym i unysłowym, serwilizmem, utylizaryzmem, pogardą dla „waciaków” i obawą przed mezaliansem społecznym.

Przyjęło się traktować to tałatajstwo jako egzotyczną kasę zgorzkniałych emigrantów z epoki Franciszka Józefa zapominając, że ludzie mogą rozmażać się w dowolnej sytuacji społeczno-politycznej.

Chodzi o pewien model kulturowy współczesnego człowieka, ściślej — o mieszczucha anno domini 1962. Kim jest, gdy siedzi w kawiarni, w teatrze, w więzieniu, w parku lub przy tzw. ognisku domowym? Gdzie się urodził, skąd przybył, do czego dąży, co lubi, co toleruje, a czego nie znosi?

Współczesny mieszczuch to człowiek, któremu „poszczęściło się”, człowiek którego tzw. fala dziejowa wyniosła na pierwsze lub drugie piętro nowoczesnego bloku jakiegoś RDM-u, aby po okresie klimatyzacji na tych wysokościach były kandydat na lumpa — dziś inteligent — mógł dojść do oświecającego wniosku, że socjalizm — to nie jest głupia rzecz.

Zapim jednak dojdzie do tego, przyrzemy się jego karierze społecznej. Pochodzi często z klasy robotniczej lub chłopskiej. W tym środowisku zbyt dobrze znane jest przekleństwo pracy fizycznej, zbyt gorzko udokumentowane dziejami jego dziada i pradziada, aby mógł zaprzepaścić okazję do „wybicia się”. „Bije się” jednym, powszechnym dziś sposobem — nauką. Uczy się więc lub studiuje z zaciekłością, na jaką nie stać byłoby

niejednej latorośli owej przedwojennej „wysadzonej z siódła” arystokracji finansowej. Kiedy zaś ku uciesze rodziny, a zazdrości całej wsi lub malomiasteczkowej ulicy, ukończy studia, statystyki odnotują narodziny nowego inteligenta.

Tu zaczynają się jego mniej lub bardziej szczęśliwe, ale zawsze typowe perypetie. Gdy w jego rodzinnej wsi, dyplom i kapelusz wzbudzały szacunek najstarszych, w mieście, do którego przybył eksploatować swoją wiedzę, rządzą inne niuanse. Tu bowiem zastaje autentyczne klasy społeczne, grupy, podgrupy, zawody, hierarchie.

Najpierw spostrzega cztery stany: Zasiadają, przedwojenną arystokrację lekarzy, adwokatów, kupców, bankierów, ziemian, dam i kurtyzan (sic!) — „żywcem” wyciętych z powieści Balzaca, Stendhala, Zapolskiej — pewną siebie, epatującą.

MIESZCZUCH 1962

Artykuł dyskusyjny

Drugi stan, to współcześni parweniuse, którzy przybyli tu przed pięć, dziesięciu laty, „dorobili się”, porośli w piórka, pierzyny, prakki, odkurzacze i obrazy przedstawiające zachód słońca w Prowansji lub grzybobraniem w Stąporkowie.

Trzeci stan to tacy jak on „na dorobku”, również jak on zapatrzeni w świetlaną wizję zachodu słońca w Prowansji.

Czwarty — nieodłączny świat dozorców, sprzątaczek, emerytów i kalek, jako tło, memento i doping.

Celowo wybrano tutaj metodę, której nie powstydziliby się Frus czy Zeremski, ale bohatera nasz jest nowicjuszem i nie posiada innej, bardziej nowoczesnej linii podziału jak ta, którą zaczerpnął z lektur szkolnych. Z czasem dorobi się jej — podzielił ludzi na tych, którzy zarabiają tysiąc pięćset złotych, i tych, którzy zarabiają dwa razy tyle. Otrzyma wtedy zadziwiające rezultaty: obok dozorczy znajduje się profesor gimnazjum, a obok renomowanego lekarza człowiek, który nie ukończył pięciu klas szkoły podstawowej. Poczyniliby jeszcze wiele innych spostrzeżeń, nie będąc jednak socjologiem zostawił tę dziedzinę na boku, bez reszty oddając się manii

poszukiwania mieszkania, pracy etc. My zaś opuścimy go na chwilę i podążymy śladem innego bohatera, inteligenta wprawdzie, ale życiowej ofemry i idealisty.

Będąc czułym na punkcie swojego wykształcenia, szybko zauważył, że wybrał był fatalny kierunek studiów,

który tylko dzięki pobłażliwości władz nie został skreślony z listy fakultetów. Będąc w takiej sytuacji, ma trzy możliwości: pracować za bezcen, zmienić zawód albo wyemigrować na prowincję, niosąc oświaty kaganiec.

Wybiera tę ostatnią przyjemność i w samobójczej atmosferze nudy i martwoży, filistrzeje, oddaje się pijaństwu lub grze w wista z miejscową śmietanką, dorabia się dzieci, skieroży i pogrzebu z udziałem zespołu miejscowej orkiestry strażackiej.

Tymczasem w mieszkaniu pierwszego bohatera zaszło szereg zmian lodówkowo-widokówkowych. Osiągnął wszystko: dom, rodzina, praca, „poważanie”. Ten nobliwie wyglądający pan jest jednak już tylko półinteligentem, mieszczuchem, nastawionym do życia jak najbardziej konsumpcyjnie, minimalistą, któremu do błogostanu wystarczą trzy „Z”: Zarcie, Zona i Złób oraz mecz piłki nożnej w niedzielę. Jego współzycie z otaczającą rzeczywistością polega na prostej wymianie dóbr: społeczeństwo zapewnia mu posiadanie trzech „Z”, on czuje się zobowiązany odplacić mu w myśl obowiązującej siatki plac. Gdyby jednak to społeczeństwo nagle zachorowało, powiedzmy — na anemię i pow-

VIOLETTA SZORC

*

*

*

Mówił tak pięknie, że przenikały w niego wszystkie koleje starych słów, od zasunętych firanek po dwanaście piaszczystych przyładek. Zostawiał po sobie coś z bloku zawieszonoego nad swoją głową.

Przychodzili do niego pełni cudzych spostrzeżeń, on je przetrzącał po kolei nad głowami i odchodził zmieszany. Szli do niego opustoszały jak po wyspaniu się nasion i mówili:

— „Zrób coś, przecież umiesz pięknie mówić.”

Odpowiadał:

— „Dobrze” — i prowadził ich do swego domu. Mieszkał na parterze i po drodze nie było zakrętów. Nigdy się nie odwracał, a w domu też nie chodził do tyłu. Ale mówił. Na firankach zamykał zdania, a już na dwunastu przyładekach kobiety wyciągały szyje z dwunastoma obręczami.

Były piękne i dla niego stały dużo godzin na piasku. Lubili mówić nie do nich. Ci, co go nie widzieli — mogli przypuszczać, że go w ogóle nie ma. Trzeba przyznać, że byli ucziwi.

stałaby potrzeba przetoczenia do jego żył dziesięciu centymetrów sześciennych krwi, współczesny, przeciętny mieszczuch nie podstawi swojego ramienia, nie zgłosi się bezmiennie i nie odejdzie bez forsy. Teraz jednak oskarżony o to przed faktem, chburzy się i zażąda satysfakcji, ponieważ jest mieszczuchem do kwadratu...

Mieszczuch 1962 czuje się „burżujowato” i takim jest w istocie. Wprawdzie żyje z pensji na pensję, ale jakoś buduje ten domek jednorodzinny nieustannie przy tym wyrzekając na ciężkie czasy. Właśnie ów domek — to limes marzeń współczesnego mieszczucha. Natomiast mieszczuch 1972, granicę tę przesunie poza własny garaż i samochód, ale głos wtedy oddamy Boyowi-Zeleńskiemu, który pół wieku temu tak pisał o współczesnym sobie mieszczuchu:

„...Zamożne łyki, opasłe opilce o czerwonych gębach... Zarli bowiem suto i tłusto, żarli całą gębą, oczami, uszami i wąsem sumiastym. Po czterdziestce jeździli do „badów” i „kurortów”, aby w czeskich czy austriackich kąpieliskach i uzdrowiskach ulżyć dolegliwości żołądka, wątroby i nerek. A potem znowu napelniali kolduny mięsiwem i alkoholem, póki wulgarny szlag, który ich trafiał, nie powołał ich do wiecznej szczęśliwości”.

Oczywiście cytaty ten, podobnie jak cały powyższy wywód, zaprawiony jest sporą dozą literackiego subiektywizmu. Nie chodzi tu jednak o generalizowanie istniejących, ale nie zawsze typowych przejawów, nie chodzi o zasugerowanie ich jako obowiązującej prawidłowości. Artykuł ten nie ma pretensji do autorytatywnych wniosków socjologicznych. Problem uchwycenia modelu kulturowego, społecznego, dzisiejszego mieszczucha jest zagadnieniem nazbyt złożonym, aby móc je rozstrzygnąć w krótkim eseju.

Henryk Pająk

ROCH ŚĘCZAWA

Chwalenie buta

Tacy są szcudrzy moi przyjaciele: dali mi wszystkie drzewa wraz z cieniami, dali mi niebo znad swego miasteczka, chodniki ulic i ścieżki zaulków, i stogi światła latarni bieżowane deszczem.

Tak wierzą w moje siły moi przyjaciele: choć tłumok mojej głowy sen już zawiązywał — jeszcze włożyli węń cerkiew i rehot żab, co nad Huczwą podnieśli się wiosną, i samą Huczwę też chytrze wsączyli kielszkim czystej pod kufel jasnego.

Cześć ci więc, bucie! Rozumnie rozdziawiasz gębę zelówki. Ty — jak ja — pojąłeś, że nie pokoju — łóżka bym nie zmieścił; dzięki tobie obmacać mogą część daru przyjaciół.

MAREK SŁAWOMIR KOTLIŃSKI

* * *

wszystkie rozstrojone fortepiany i ścienne kalendarze rembrandtów matejeków i matki boskie uplakacone pajaki pięcioramienne przyklejone co święcie a ręką dotknąć i kurze można z nich ścierać zamienić na cztery promienie jakiegoś słońca

potrafisz mieć jeden lub więcej dobrych uśmiechów i łąką czerwone, żółte i białe szerokimi przygarściami zbierać a słowa twoje makiem pole zasypać i stary kapelusz wróbiom pokazać tańcem włosy twoje i ręce co siny ślad pieszczotą znaczą trzy jazzowe orkiestry trzy jazzowe orkiestry

słowa dawales dużo sobie potem tym co nie i mówią że rozumia gwiazdom korale zrywać i przywiązywać pacyfiki rzekom do ogonów chciales zostanie plotles jak dziewczyna warkocz i niby kwaciarka ukladales je w atramentowe znaczki by rilkego i czechowiczów poznać jak palec wyglądają i gdyby mówić umiały i gdyby kapelusze miały spadające kasztany lub zziębnięte i niedosycone noce że znają że wiedzą by krzycały i kłaniać by się chciały drzewo zamienić w melodię lub w pierw nieistotne kłujące jak ostre dźwięki w papier ułożę nie może każdy choćby nawet był darwinem lub einsteinem i najpiękniejszą anną nie mieć oczu i mówić można nie potrafić lecz słyszeć wystarczy bo stopniami klawiszami schodził lub nie spada wodospadem obejmuje i piasek z siebie strząsać każe jakby wszystkie harlemy do jednego przenleś pokoju i pomieszać z wiatrami lub morzem

i gdybym dostał cztery promienie jakiegoś słońca za kredensy fajansowe figurynki to i ty byś dostała bo i tobie bym dał śpiewałabyś a włosy twoje jeszcze bardziej jeszcze bardziej gorące i inne by były i ty byś dostał co świeczki jemu zapalasz a chceś być większy niż on i ty co dla grajków niewidomych jesteś czasem chlebem a czwartym bym sobie zostawił a gdyby ktoś powiedział że i on oddał bym i wtedy reszta była dla mnie

VIOLETTA SZORC

W rocznicę

Kreują nowe przejścia w zmurszałe jaskinie na bramy ostrodzwonne spiskujące tuklem kreują dobrą miłość na płaskach pustynnych tak cienko przesypanych że nie miękna w skrzelałach kiedy w trzech konstytucjach cały świat się zawarł on konsulem starzynny handlował z uporem i dziewczynom sprzedawał sztylety kradzione za okruh gilotyny co nóż miłala tepy aż piasek zakrzepł w płucach kupującym wolność jedna się d'Are poczuła matka pogrobowców nosiły swoje brzuchy jak wielką żalobę po ustawach najstarszych co ich nikt nie sądził a dobrą miłość długo przerabiano w książkach zbierając potem łuski on znowu omawiał kreacje nowe co składać się miały na czwartą konstytucję tych co się narodzi.

Chopin

To on
mnie budził
klawiaturą palców.

To on
budował wierzby i pejzaże
i jasny powiew sponad złotych pól.

To on
przysiadł nad strumykiem drogi
wsluchany w kołysanie drzew.

To on
powstał z rzuconego na bruk
fortepianu
etiuda i polonezem.

(Dokończenie ze str. 3)

lekarz. Był wybitnym fachowcem o dużej klienteli, ale mu to nie potrafiło wypełnić życia. Miał niewyżyte tęsknoty i ogromną skalę zainteresowań. Wszystko robił z pasją.

Klub sportowy „Lublinianka” w dużej mierze swe sukcesy zawdzięczał Arnsztajnowi, który wspomagał go finansowo i masę wolnego czasu poświęcał robocie organizacyjnej. Sam grał świetnie w tenisa i brał udział we wszystkich turniejach. A potem teatr i sprawy społeczne, i życie towarzyskie, i knajpa. Nie stronił od żadnych uciech, jak gdyby przeczuwał swą przedwczesną śmierć. Cnając napięć się życia do syta, do zachłyśnięcia.

Oczywiście taki towarzysz był nieoceniony. Zawsze chętny do wszystkich zabaw, o każdej porze gotów do startu i zawsze przy gotówce. A w dodatku rozporządzający obszernym i dobrze urządzonej mieszkaniami. I przez dłuższy czas samotny, niezależny.

Potem się ożenił z aktorką, Janką Pińską, siostrą żony Ryszarda Wasi-

Stare Miasto w Lublinie

lewskiego, który z Wysocką prowadził teatr. Jednak to małżeństwo nie zmieniło w niczym jego trybu życia. Zona okazała się godnym towarzyszem zarówno męża, jak i kompanii. Rodzice Janki i niektórzy znajomi mieli jej za złe, że nie ma dobrego wpływu na męża i nie potrafi go powstrzymać od niezliczonych szaleństw. Rzeczywiście nie potrafiła, czy też nie chciała. Zapłaciła za to najwyższą ceną — życiem.

Janek Arnsztajn miał ładną i wyrozumiałą żonę, świetną praktykę lekarską, a co za tym idzie pieniądze, znacznych i kochających rodziców, wygodne mieszkanie, samochód, mistrzostwo w tenisie, mnóstwo przyjaciół i wielką popularność — lecz to wszystko mu nie wystarczało. Marzeniem jego ukrytym była kariera literacka, a właściwie poezja. Syn znanej poetki, w której domu tyle się mówiło o poezji i tylu bywało poetów, nie zdradził się nawet przed matką. Pisał wiersze w absolutnej tajemnicy. Jeśli przynosił czasami jakiś swój plód, który w skrytości ducha uważał za specjalnie udany, do oceny matki, to zawsze tłumaczył, że to właśnie któryś z jego znajomych jest autorem.

Razu pewnego w niedzielne popołudnie, zeszli się w większym gronie w kawiarni. Był, o ile sobie przypominam, Czechowicz, Gralewski, Grędziński, a więc „Reflektor” in corpore, i jeszcze paru innych. Gwarnie było i wesoło, jak to zwykle przy naszym stoliku. Przysiadł się do nas Arnsztajn z numerem dziennika „Ziemia Lubel-

ska”, aby nam zwrócić uwagę na interesujący jego zdaniem wiersz, który tam się ukazał w dodatku literackim. Nie przypominam sobie ani tytułu, ani treści tego wiersza, ot taki ani lepszy, ani gorszy od tych, które drukowano w prasie codziennej, i nie wiem dlaczego poddałem go ostrej i bardzo złośliwej krytyce. Każde zdanie każdy zwrot i metaforę wykipiełem, wywołując na dodatek szczerą wesołość i śmiech wśród towarzyszy.

Janek nic nie dał poznać po sobie, posiedział z nami jeszcze trochę, pożegnał się i wyszedł.

Znaczenie, znacznie później, w czasie nocnej biesiady, przy którymś tam kieliszku, gdy nadszedł czas zwierzeń, wypowiedział się ze swoich tęsknot i marzeń. Powiedział mi wtedy, że to on chytrze po umieszczeniu pod pseudonimem swego wiersza w gazecie chciał sprowokować naszą ocenę i wierzył, że będzie przychylna i że właśnie ta moja bezlitosna krytyka oraz reakcja innych poetów takie na nim zrobiły wrażenie, że po powrocie do domu spalił wszystkie swoje plody i nie tylko przestał pisać, ale nawet myśleć o poezji. I że to jest wyłącznie moja zasługa, czy też wina.

Popłakaliśmy się obaj, czy to z żalu nad zwichniętą karierą poetycką, czy też z racji przekroczenia normy w spożyciu „pocieszycielki”, ale na tym się nie skończyło. Temperament pisarski Arnsztajna, szukał sobie ujścia i znalazł je w innym rodzaju twórczości literackiej. Z tych lez i alkoholu urodził się pomysł napisania wspólnie lubelskiej szopki politycznej.

W dziedzinie satyry i lekkiej piosenki Arnsztajn okazał się majstrem nie byle jakim. Umiał patrzeć satyrycznie, a przy tym był dowcipny i muzyczny.

O ile rzeczywiście przyczyniłem się do unicestwienia jego marzeń o poezji, to z kolei pomogłem mu walczyć do wyzycia się literackiego na innym polu. Napisałszy razem trzy szopki, które były wystawione w Lublinie i cieszyły się ogromnym powodzeniem. Jedną z nich ukazała się drukiem.

Zarówno wspólne pisanie, jak i dal sze z tym związane przygody — to była pyszna zabawa. Brali w niej udział nasi bliźni i dalsi współpracownicy, jak i suł rzeczy ci wszyscy, którzy stanowili cel dla naszych ja-dowitych strzał.

Te trzy szopki to jednocześnie przegląd lubelskiego światka politycznego tamtych lat, dlatego uważam, że warto je przypomnieć.

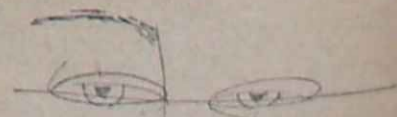
Konrad Bielski

MICHAŁ SPRUSIŃSKI

Nazywam ją po prostu księgą

Otwierana jest światem
z końcem wędrówek zwierząt
gościńców pochodniami
zapalana w krzemieniu
potem w marmur i piach
przebieganie przebieganie.
Świt młoczeniem znaczonej
otwiera ją pochodem
przez gościńców pochodnie.
Otwierana

w spiralnych plóropuszcach ptaków
w ptaków odlot
i wszystkich spraw zwierzęcych
zamykanych powłotrzem
w zegar słoneczny
gdzie nadłamaną trzciny miecze
wskazują metalowy czas.
I jest tu także chociaż powiadają
że ten krajobraz prawie dekoracja
z kaganików trawy zieleni
w komodach dojrzwane kwiatów
kredensów popękane dęby
na skałach mechów miedziany lakier
a sztyd palmowy ogród niesie.
Razem — roślinna kolor przedmiot
i jeszcze róże krwi obiecu.
Nazywa ją po prostu księgą.



Jacek Jedliński

MARIAN BERKOWICZ*

Spojrzenie

W kąpielę przygód
myśl omija ślady
małych stóp
zatarłe śmiechem.

W maków czerwieni
młeczenie.

Plusk wody zmaconej
lkanem wikliny —
dyryguje granem
niewieśców bioder.

— Spłoszony lotem
białych motyli
wracam szukać cienia.

Spojrzenie zamyka dzień

Sen

Śniła mi się śmierć
strzępywała
krople słonecznego deszczu
z moich rzęs.

lżejszy o czas
który mnie trawi
zbierałem
grudki krwioleż
po zaoranych dołach
wzruszeń

ciepłolistne drzewa
technęły zadumą
jesieni.

Osamotnionemu

Wchodząc na wieżę
w oknach dnia
zbladziłeś

Wolasz
głucho dokoła
nad ziarnem sumienia
mgła

Jak dziecko lkanem
budzisz wydeptane
ścieżki

Tędy przeszło
wspomnienie wiosny

GNOMONIKA NOWOCZESNA

Jędrzejowskie Muzeum Zegarów Słonecznych zwiedzałem wielokrotnie — i za każdym razem oglądam i dostrzegam się czegoś nowego. Rolę „cicerone” pełni z młodzieńczą żywotnością matka Doktora Tadeusza. Oprowadza i pokazuje z pietyzmem przechowywane pamiątki rodzinne. Doskonale dostosowując się do poziomu i zainteresowań zwiedzających, zaprezentuje młodszym ciekawy zegar-aramatkę króla Leszczyńskiego, która wystrzałem o godzinie dwunastej obwieszczała południe; starszym pokaże pamiątki z czasów Powstania 1863 i Wielkiej Wojny 1914—1918. Obok Pani Zofii oprowadza także wycieczki małżonka uczonego, Pani Stefania. W trudną a ciekawą pracę wprawia się syn Ma-

ciej i córka Agnieszka. Jest to więc w całej pełni „muzeum rodzinne”, do którego wpadam jak do Soplów, do centrum tradycji niepodległościowych, walki Macierzy Polskiej i „polszczyzny”. Słusznie powiedziano o Panu Tadeuszu, że jest ostatnim, co tak poloneza wodzi. Ma humor i zdrowie, więc korzystając z okazji (aby współcześnie reportaż pisany bądź co bądź w epoce atomowej) pytam zawsze gościnnego gospodarza o aktualne znaczenie i zastosowanie gnomoniki. Wbrew wszelkim mniemaniom, że są to tylko sprawy „muzealne”, pokazuje Doktor Przyppkowski ostatnio nabyte eksponaty. Znowu wyliczę tylko niektóre: Oto zegar „gwiazdowy”. Nie wierzę oczom ni uszom. Przecież i w nocy trzeba wiedzieć, która godzina — mówi z tajemniczym uśmiechem. Nastawia się więc go na Gwiazdę Polarną i ze skali odczytuje czas. Już się nie dziwię zegarom konstruowanym przez Japończyków w czasie wojny w 1905 roku, kiedy podczas ostatniego pobytu w Krakowie miałem możliwość oglądać inne cudo najnowocześniejszej techniki: magnetoфон reporterski. Ale — kończy Dr Przepkowski — zegary słoneczne wykonały dobrze swą służbę w czasie minionej wojny. „Obstąp!”. I nie uwierzylbym, niewierny Tomasz, gdyby mi ad oculos nie pokazano: amerykańskiego zegaru słonecznego, który ratował aliantów w czasie ostatniej wojny pod Tobrukem; zegara używanego przez Niemców, kiedy rozgromieni na Węcho-żcie, bliscy byli ostatecznej klęski na Zachodzie, wreszcie zegara gwiazdowego, używanego przez Armię Czerwoną przy obronie Moskwy. „Tak, tak, Gerwazejku. Tak, tak, Protazejku.”

Zycie idzie naprzód. A z nim, choć nie przypuszczaliśmy, naprzód idą zegary słoneczne.

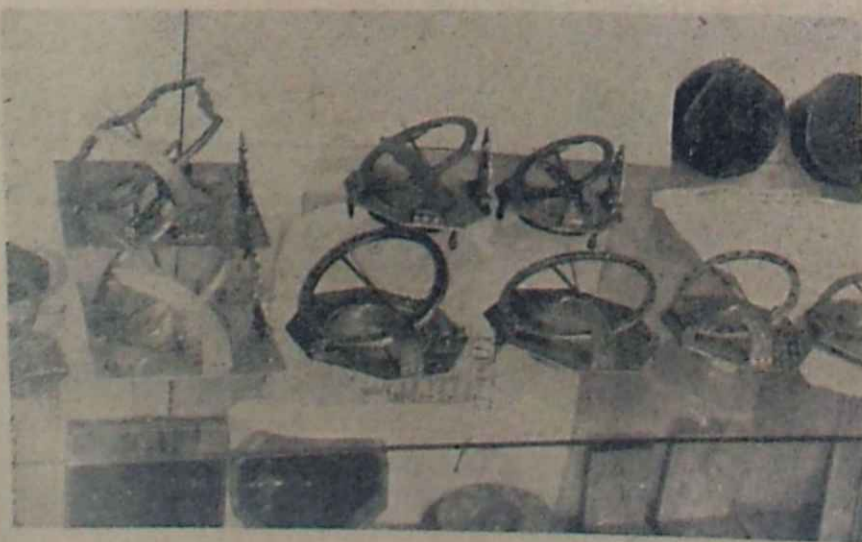
MIASTO SŁONECZNYCH ZEGARÓW

(Dokończenie ze str. 7)

zechcieli odwiedzić Jędrzejów, radzę przypatrzeć się w miejscach zamieszkania względnie przy sposobności — wymieniam co niektóre — zegarom słonecznym: na kościele Mariackim w Krakowie, na zamku w Dzikowie, w Muzeum Cluny w Paryżu, na Trinita de Monty w Rzymie, przy Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie, na dziedzińcu Planetarium i Obserwatorium w chorzowskim Parku Kultury i Wypoczynku koło Katowic, na ratuszu w Eiecu i na zborze ariańskim w Iwoniczu... Trudno wymienić znowu wszystkie. Wspomnieć tylko należy o zaszczytnych zamówieniach w ZSRR i USA, w Chińskiej Republice Ludowej i Wielkiej Brytanii. Autor „PO DRODZE W KOSMOS” wybiera się na drugi kontynent, gdzie ma również ciekawą konferencję. Jak atrakcyjne zamówienia. Kiedy znajduje czas na niesłychanie ciekawe prace naukowe regionalne — pozostanie dla mnie zagadką.

Augsburskie zegary słoneczne XVIII w.

Fot. E. Dobrowolski



WYSZŁA „Makotka z jeleniem”, wyszła „Arkadia”. Zaczekam. Nie mógłbym, żeby nie odziedziczyć świętego pisarstwa od... Jest Henryk Berezka w „Twórczości” (rok 1961, nr. 12, str. 114). Nawet sam fragment z Czeszki:

„Przypuszczam, że najczęściej spotykaną przyczyną (polowań — dop. mój) byłoby tu pragnienie sprawdzenia swych możliwości i chęć narzucenia swej władzy. Od celnego strzału nie ma odwołania. Urzekająca jest możliwość gwałtownej i ostatecznej ingerencji, a ów cierpki smak żalu, który następuje zwłaszcza wówczas, jeśli nie było to zwierzę drapieżne, przecież także nie jest do pogardzenia.”

Berezka nazywa to doświadczeniem tego, co „ludzkie i nieuchronne w prawdziwym życiu”. Można i tak. Tylko umówmy się, co od dziś będziemy nazywali cynizmem.

Ostre słówko? Dajcie łagodniejsze na określenie postawy do tego stopnia sprzecznej z zasadami humanizmu. Bo już nie o zajęcie chodzi. I tak będą strzelano. Szkuje ta wyrażona *ex pressis verbis* motywacja zabójstwa jako hobby. Ten perwersyjny „cierpki smak żalu” zapisujący nawet odruch moralnego sprzeciwu po stronie rozrywki. Czy tak osiąga się ów bezsprzecznie dodatni element, jakim jest kontakt z konkretem rzeczywistości?

wzywają hasła odpowiednich resortów, zbyt wiele dziur w drogach, rozbicie do wykonania na budowach stadionów, ale tu frekwencja w czynach społecznych nie daje nadmierne pochlebne świadectwa obywatelskiej trosce. Natomiast „czyn społeczny” w strzelaniu do kaweł podobno wyjadających kukurydzą przyniósł niespodziewany urodzaj ofiarności w „służbie” dla rolnictwa. Zgodą. Jest konieczne i słuszne, że pewna część dzikiej zwierzyny ma być skazana na zagładę. Tylko skąd tylu ochotniczych rzeźników tej konieczności? Słuszne jest też, że — *toute particularité gardée* — stracony ma być zbrodniarz. Co jednak byśmy powiedzieli o ochotniku do wykonania wyroku? O kacie z amatorstwa? Choć w tym drugim wypadku jakiejś legitymacji moralnej można by się doszukać w odrzynie wobec zbrodni, podczas gdy w pierwszym...

Kiedys w „Kronice obyczajów” Jerzy Putrament zamieścił felieton pt. „Kurra”. Obrazek taki, że dorosli przy dziecku zastanawiają się głośno, kiedy tę kurę zarznąć. Skutek: po zapadnięciu terminu mała dziewczynka wyraża chęć obecności przy zabijaniu. W poincie dezaprobaty pedagogii wiódącej do uczuciowego indyferentyzmu i sprzeciw wobec traktowania pewnych spraw na płaszczyźnie wyłącznie

»LUBIĘ« ZYGMUNT MIKULSKI

Rzecz nie wytrzymuje próby nawet czysto „sportowej”. Sprawdzenie swych możliwości... Wielkich potrzeba dla pociągania za spust. Narzucenie władzy... Zajęciem i kuropatwem. Możliwe ostatecznej ingerencji... Dzięki wyalizacji prochu. Wystraszone zwierzę, pędzone tyralierą nagonki wpada wprost pod nogi myśliwemu. Strzał jeden, dwa, naboje śrutowe mają duże pole rozrzutu. Chodźcie, dysponujemy kryteriami ocen, określać zjawisko w kategoriach wyczynu i męskiej potrzeby doświadczenia prawdziwych konturów życia.

Żeby jeszcze szare niedźwiedzie, albo grzechotniki. Coś jakby moralne placet dla zapotrzebowania na rozrywkę, w której coś ma paść trupem, uratowany byłby przynajmniej „przygodowy” aspekt sprawy. Tu? Przy takim wyposażeniu w sprzęt, takiej organizacji myślistwa, takich atutach walki, jakie ma w Polsce „zwierzyna łowna”, sofisterna o „goût d'aventure” w procedurze, której final jest z góry wiadomy, prowokuje jednoznaczna ocena. „Zabilem” — oto jedyna satysfakcja pozostająca sobą mimo szczerych introspekcji i terminologicznej swobody).

Powtórzę: to nie o zajęciach. Gina całkowicie niezainteresowane ewentualnymi nawarstwieniami refleksji we wrażliwej psychy strzelającego. To o ludziach. Niedawno w jednej z popołudniówek przeczytałem o wypadku, jaki się zdarzył pewnemu myśliwemu. Chodził dwa dni za jeleniem, wreszcie strzelił i zapłacił 9 tysięcy złotych. Jeleniem okazała się czyjaś zablakana kobyła. Połane było w sosie „relaksowym”. Dla mnie miało smak gorzycy. To aż dwa dni bez chwili odprężenia można utrzymywać w sobie przypływ instynktu zabijania? Przeczam, ale jeżeli uważamy to tylko za ciekawostkę, należy się nam jakaś etyko-terapia.

Znalazł się przypadkowo w towarzysztwie pewnego pana i zmuszony być „zabawiany” przez niego rozmową otrzymałem takie oto opowiadanko: „Stado dzików. Maciora i małe. Ale śrut miałem lepszy, na kaczki. Nie zabilem od razu. Trafione prosię zaczęło kwiczeć. W matce strach walczył z instynktem macierzyństwa. Bała się podejść. Wylałem kawał suchej galezi. Znow tylko przetrząłem grzbiot. Kwiczało i kręciło się w kółko. Dopiero po kilku razach udało mi się rozwalić łeb”. Przeczam, że „hemingwaywość” relacji, ale z własnego doświadczenia utoczona chciałem postawić kropkę nad „i” praktyk, jakich nie mogą pominąć intelektualni apologety myślistwa.

Argument „ekonomiczny”. Ze zwierzę z dzikiej nie trzebionej byłoby zbyt wiele, stąd „wyż demograficzny” w lasach, szkody itp. Możliwe, ale cały czas nie o tym. Bo cała finalis myślistwa to nie „zbyt wiele”, ale przyjemność w zabijaniu. Zbyt wiele także chwastów, do walki z którymi

technicznej. Taaak. Bo tenże sam autor napisał „Arkadię”. Co zostało ogłoszone przy kurze uległo odwołaniu przy rybce. Całkowicie i do szczętnie. Zastanawia: ileż tam bystrych obserwacji, wnikliwych spojrzenia, celności słowa — no, świetny pisarz. I ani jednej refleksji na temat, czy choć cień moralnej restrykcji nie pada na tak w dodatku euforycznie uprawiane dręczycielskie hobby. Przecież po drugiej stronie jest — pensjonarskie słówko? — cierpienie. Jak się to dzieje, że ta sama ręka, która tak gwałtownie reaguje na najmniejsze nawet ukłucie, potrafi wykonać czynność do tego stopnia (nie dla podmiotu) bolesną, jak założenie „żywa” na haczyk? Poza wszystkim jest tu i jakieś uwłczenie godności ludzkiej, nie mówiąc już o męskiej: uznaje się za słuszną taką dysproporcję w „dystrybucji” bólu na niekorzyść człowieka, że tam z lekkim sercem aplikuje się torturę, a tu „panie doktorze, czy ten zastrzyk będzie bardzo bolal”. Okrucieństwa wojen. Oświećcie. Ale tu w grę wchodzi uznany za taki stan patologiczny, ocena moralna odbywa się w kategoriach „nie”, gdy tam w kategoriach „tak”. Człowiek to brzmi... Jak więc udzielać moralnego przyzwolenia praktykom godnym w najlepszym razie zdecydowanego votum separatum, ba, znajdować dla nich artystyczny kształt, czy choćby przychylność spojrzenia? W Zuktowskiego „Skapanych w ogniu” (str. 109) Boltyrko zachwala postaw stołu: „Kury świeżytkie, sam potorkiem im spuścilem lebki”. Następnie deser satysfakcji: „Lubię, jak tak się w trawie trzepią, bo...” itd. Dajmonionie pisarskiej szczerości! Okazuje się, że to — obojętnie dla jakich powodów — można lubić. Czy na tym polega krwistość opisu? Jakże się w takim razie Majakowski — ów „brutal prawdy” — powinien rozsmakować w chigagowskiej rzeźni, o której w listach z Ameryki pisze z takim wstrętem chyba nie dlatego, że kapitalistyczna.

Nie proponuję zapachu fiołków i białych rękawiczek. Ptaszków na rękach. Mam jednak prawo w sprawach moralnych od twórcy oczekiwać jeśli nie ryzyka donkiszoterii, to w każdym razie zasadniczości nie przepuknej dla płaskich pokuszeń cywilizacji. Świat pisarza nie powstaje z paragrafów legalności. Z bicia ludzkiego sumienia. Kilkanaście lat temu (milo nawet po takim czasie przypomnieć) Jalu Kurek opublikował ostry protest przeciw postępkowi dozorczy, który skatował kota. Była to piękna manifestacja wrażliwości na znak, skoro nie na stopień zjawiska. Michał Choromański w opowiadaniu „Pani Wiesia Tubilowa” („Zwierciadło”, 17.XI.61) ukazał rzeczywistą aberrację etyczną konwencjonalnie „dobrego” człowieka. „Do rodzaju ludzkiego chętnie zaliczę psa; nie zaliczę rakarza” — stwierdza prof. Kotarbiński. Miarą ludzkości jest również stosunek do zwierząt.

SEN SZYDERCY o przyszłej kulturze masowej

TADEUSZ J. ŻÓŁCIŃSKI

Co i raz na łamach naszej literackiej prasy wybucha ekstra bombowa dyskusja z przystoiwego cyklu „my i koniec świata”. Oczywiście nigdy temat tych tasiemcowych artykułów — wypowiedzi snuty przez mniej lub bardziej obeznanych z tą materią piszących nie jest w ten sposób formułowany. I zresztą nie może, bo zazwyczaj taka dyskusja, rozpełnana pięknym, sznystym artykułem „od redakcji”, błąka się gdzieś na marginesie zagadnienia, nigdy nie mogąc trafić w „jedno sprawy” i szybko i w pewnym sensie nienaturalną śmiercią zakańcza swój żywot.

Ileż takich dyskusji przewinęło się przez nasze tygodniki na przestrzeni ostatnich kilku lat. Kiedy przegląda się „Nową Kulturę” czy też „Życie Literackie”, nie mówiąc już o „Przebiegu Kulturalnym” i „Tygodniku Powszechnym”, ma się wrażenie, że pisma te są wręcz jakimiś agendami słynnego instytutu Gallupa do sądowania opinii polskich intelektualistów, o mniej lub bardziej palących problemach nurtujących nasze codzienne życie. I czasami tylko, w drodze łaski i wyjątku, do dyskusji takich z niejakim przymrużeniem oka dopuszcza się zwykłych śmiertelników.

Wyżej wymienione tygodniki korzystają z wypowiedzi stylu ankietowego kilku czy kilkunastu ludzi, których nazwiska znane są w kraju i za granicą. Zazwyczaj wypowiedzi te, poza sloganowymi stwierdzeniami, że „poruszony problem jest palącym nie tylko u nas w Polsce, ale i na całym świecie, ściślej na Zachodzie”, zawierają jeszcze piszącego „widzi mi się” i na tym koniec.

Ostatnio taką bombową dyskusją toczącą się na łamach niektórych czasopism w kraju i za granicą, jest sprawa przyszłości kultury masowej. Jaka ona będzie? Jaki będzie człowiek, który będzie ją wytwarzał i konsumował? Liczne ankiety, artykuły na ten temat zapełniają szalony pism.

Nie tak dawno uczestniczyłem w jednej z takich dyskusji o kulturze masowej, której duchem, językiem i myślą przewodniczył Kisielewski. Zapewne chcąc obecnych na sali zmusić do intensywnego myślenia, połączonego z nie mniej intensywnym obracaniem języka w gębie, opowiedział swój straszny sen śniony nad ranem. Był to sen pełen zmór, które tym razem przybrały formę rekwiizytów przyszłej kultury masowej.

Bo oto Kisielewski śniło się, że w niedalekiej a może i dalekiej (we śnie zatracą się pojęcie czasu) przyszłości będą istnieć tylko trzy reprezenta-

Uległy już w walce. Nie stwarzamy sytuacji, w których po jednej stronie będzie ich tortura, po drugiej nasza zacheianka.

Komuna!, ale nie jest obojętne, jaki „model” człowieka kreuje literatura. Jakim jego nawykom i skłonnościami daje sankcje. Niedorzeczne optować, by miała „lilit, nie pióro w garści” (Gałczyński), ale też nie do przyjęcia jest rejestracja zdecydowanie płaskich zachowań w imię „adekwatności” widzenia. Adekwatność pełna natrafia również na potrzebę zaangażowania kryteriów. Wymiary życia nie tkwią w puchu. Tak, ale tylko „silny człowiek” Nietzschego dał dowód „mocy” ucinając kozie nogę. Dlatego nie można „lubić” agonii kury, czuć „słodkiego ciężaru na wędze”, strzelać dla „żalu”. Tym bardziej, gdy „Z kraju milczenia”, „Wrzesień”, „Edukacja niesentymentalna” to reprezentacja tak celnego, sugestywnego pisarstwa.

1) Jednemu tylko Stanisławowi Zielińskiemu („Podróże balonem”) dysgust spowodowany tą stroną książki Czeszki przeszkodził pełnej lektorskiej satysfakcji. W recenzjach (z „Arkadii” w „Nowych Książkach”, z „Makotki” w „Nowej Kulturze”) ani słowa o ewentualnym choćby konflikcie tych scen z prostym odczuciem humanitarnym. (Obie spod pióra kobiet...)

2) Dla dopełnienia miarki wznowiono nie najwybitniejsze literacko „Moje przygody łowieckie” Juliana Elsmonda z minoderyjną kokieteryją okrywającą myśliwką namietność piszącym „rozmilowanej w przyrodzie”, chaplinowskiej prostoduszności.

3) Także problem, czy można być wielkim pisarzem nieustannie tylko przekuwając przeliki i krusząc łopatki. Te marliny, corridy, noże w kontrahentów nawet nie w celu moralnej prowokacji, jak u Borowskiego...

4) Nawiasem: nie było erraty co do tytułu? Mit arkadyjski zawiera inne relacje współzycia ludzi ze zwierzętami.

tyczne ośrodki kulturo-twórcze: Stany Zjednoczone, Związek Radziecki i Chiny. Reszta będzie się im musiała podporządkować tworząc niejako całe bloki: wschód, zachód, Azja. Daleko posunięta technizacja życia wpłynie niewątpliwie nie tylko na masowość środków kultury, ale i na ich standaryzację, wytwarzając powszechny model kultury człowieka. Przeszłość wówczas istnieje twórcy i odbiorcy w tym sensie, jak myślenie i obecnie. Każdy bowiem będzie twórcą i konsumentem. Zatraci się całkowicie pojęcie nowoczesności i ekskluzywności. Jednym słowem, zapanuje ogólnowiatowa papka kulturowa podbudowana wysoko postawioną techniką.

Uprzedzam, że jest to niestety nie wulgarystyczne, do minimum doprowadzone streszczenie wywodów Stefana Kisielewskiego, które w formie rozszerzonej i uargumentowanej przykładami można przeczytać w kilku kolejnych numerach „Tygodnika Powszechnego” z ubiegłego roku.

Dyskusja po opowiedzianym śnie była niesłychanie żarzta, chociaż nawet nikt nie starał się przedstawić swoich wizji (widać z braku snów) przyszłej kultury masowej. Zresztą wszyscy byli przerażeni ahumanitarnym snem humanisty — liberała Kisielewskiego, który przepowiadał nie tylko ścieranie się trzech odmiennych kultur, ale przewidywał jeszcze kilka wojen. Osobiście tak się przerażeniem tej apokaliptycznej wizji, że długo tej nocy nie mogłem zasnąć, a gdy wreszcie to nastąpiło, napadły mnie również sny o kulturze masowej, ale nieco odmienne. Toteż bardzo bym prosił traktować moją wypowiedź jedynie jako sen człowieka może zbyt wiele czytającego i przerażonego nadmiarem technizacji naszego życia.

Śniła mi się bowiem rozmowa z jakimś typem-szydercą, wyśmiewającym mój optymizm. A ponieważ był to dialog, który z pamięci nad ranem zanotowałem, przeto w tej formie go tu podaję:

Szyderca: Nie wierzysz Kisielowi? Ja — Nie wierzę standaryzacji myślenia ludzkiego.

Szyderca: A sam myślisz standardem tysięcy ludzi o takim samym poziomie umysłowym.

Ja: Tak, ale z pewnością w moim myśleniu jest cząstka mojego indywidualnego ja, które różni mnie od innych.

Szyderca: W uogólniających wnioskach analiz socjologicznych to nie ma większego znaczenia.

Ja: Więc jacy będą moi wnukowie czy prawnukowie?

Szyderca: Będą przede wszystkim analfabetami. Maszyna będzie im czytać, za nich będzie myśleć rozwiązuje różnego rodzaju problemy, podsuwając gotowe wyniki. Robot przygotowuje posiłek i pada, człowiek będzie musiał tylko skonsumować. Specjalne maszyny będą pisać powieści, sprawdzać, czy jesteś chory, badać stan twoich uczuć. A nie zapominaj, że telewizja będzie ci podsuwać gotowe formuły myślenia, opiniowania faktów i zdarzeń, wypowiedziania się.

Ja: A co zostanie w takim razie człowiekowi?

Szyderca: Przede wszystkim dbanie o zachowanie gatunku i konstruowanie coraz to nowych, coraz to doskonalszych maszyn. A wreszcie przyjemne spędzanie czasu...

Ja: Które jak najlepiej wykorzystają podą mi maszyna. A co się stanie ze sztuką?

Szyderca: To, co i dziś. Zbudujesz doskonalszą maszynę, będziesz

(Dokończenie na str. 12)

CHOCHLIK DRUKARSKI

uwzględnił się na nr 2 „Kameny”. Przeczam najmocniej red. Waldemara Babinieca, przy którego nazwisku znalazło się w niepojęty sposób imię Wacław. Przeczammy również młodego poetę Ryszarda Fatygę, którego nazwisko zostało zniekształcone (str. 8). Poza tym na str. 5, w spalcie pierwszej wiersz 42 od dołu powinien brzmieć: Przelomu myślowego w świecie...

TYTUŁ nie mój. Zapożyczony od Kornela Makuszyńskiego, który pod tym nagłówkiem otworzył FIS-owy nr „Wiadomości Literackich” w lutym 1939 r. Wtedy odbywały się już drugie Międzynarodowe Zawody Narciarskie w Zakopanem. Pierwsze zorganizowano tam w r. 1929 przy wspaniałej pogodzie zimowej i temperaturze dochodzącej do -35 stopni. Udały się znakomicie i odstąpiły wielu zagranicznym zawodnikom urok zakopiańskiej zimy i krajobrazu tatrzańskiego. Skakano już z Dużej Krokwi. A pamiętam pierwszą połowę lat dwudziestych, kiedy jeszcze nasi zawodnicy musieli się zadowalać skromnymi możliwościami, jakie im dawała skocznia w dolinie Jaworzynki. W r. 1939 mieliśmy już parokrotnie przebudowany stadion pod Krokwią wraz z wieżami obserwacyjnymi, pomostem sędziowskim i miejscami na 15.000 osób.

Właściwie już się prawie spełniło marzenie Karola Stryjeńskiego: „Chciałbym zbliżyć Tatry do Europy! Widzę już, jak je podziwiają zjeżdżający się cudzoziemcy z całego świata, jak się tu organizują mistrzostwa narciarskie...” Z całego świata, jak z całego, ale wystarczy przejść się dziś po Krupówkach, a zwłazcza po ulicy Grunwaldzkiej, gdzie głównie mieszkają goście zagraniczni, aby usłyszeć języki słowiańskie, francuski, węgierski, niemiecki czy włoski.

Tegoroczny FIS, jeśli pogoda dopisze, z pewnością będzie bardziej imponujący niż ostatni przedwojenny. Ośrodek sportowy zbudowany przy skoczni pod

Krokwią to olbrzym z halą gimnastyczną, pływalnią, częścią klubową, hotelową i gastronomiczną. Tutaj znajdą pomieszczenie zawodnicy z 19 państw. A przebudowana, po raz czwarty od r. 1925, skocznia jest jedną z największych na świecie i umożliwia skoki do 90 metrów! Trybuny będą mogły pomieścić dwakroć więcej widzów niż stadion poprzedni.

Narciarstwo. Jeden z najestetyczniejszych sportów w ogóle. Myślę tu o oczach kibica wrażliwego na piękno. Podobnie jak tenis — tak różny przecież i zupełnie z innej kategorii. Tam tło — biel niepokalana, ośnieżone góry i człowiek z szybkością pokonujący przestrzenie niedostępne w innych warunkach. Tutaj — spokój, zręczność i precyzja ruchów na ograniczonym korcie — dodajmy jeszcze dwóch lub dwojga wytwornie ubranych, zgrabnych partnerów. Ale narciarstwo rozległością pokonywanej przestrzeni i szybkością, uwarunkowaną nie motorem wrzaskliwych samochodów i motocykli, lecz sprawnością nóg i właściwością siły ciężenia, jest bezkonkurencyjne. Cisza, przerywana tylko lekkim skrzypieniem nart po śniegu, biały żywioł, potężne góry i uskrzydłony człowiek. Szlachetny, milczący sport. Piękno jego tak subtelnie potrafił oddać Samiuel w cyklu uroczych akwarel — „Neiges”, gdzie tło śnieżnych niebotyków tak doskonale harmonizuje z ruchem narciarza, który weale nie wydaje się tu intruzem, ale stapia się z krajobrazem w zgodną całość.

Dlatego rozumiem ten sport, którego sam zakosztowałem, zresztą bardzo znikomie, w odległych latach, ale którego konkurencje i dziś chętnie oglądam. Ale na FIS nie pojedę: mieszkać gdzieś w Nowym Targu albo i w Chabówce, bo w Zakopanem szpilki się nie wetkną, aby snobistycznie pochwalić się podziwianiem rekordów w slalomie czy skokach — to nie dla mnie. W marcu będzie luźno i też niejedno można zobaczyć.

X. Rovay

NOTY

100-LECIE ŚMIERCI BOŻENY NIEMCOVEJ uroczyste obchodziła Czechosłowacja. „Literarni Noviny” poświęciły znakomitej pisarce czeskiej specjalny numer. Słowa „Kulturni Zivot” przeznaczyły dla niej pierwszą kolumnę. Czym była dla literatury czeskiej ta skromna kobieta, z ojca Niemka, z matki Czeszka, żona urzędnika skarbowego, pochowana z wielką czcią na Vyshehradzie, w miejscu dla zasłużonych — Slavnie, której tytuł poetów poświęciło utwory, a Franciszek Halas — piękny poemat „Nasza pani Bożena Niemcova”? Była nie tylko pierwszą kobietą, która w piśmiennictwie czeskim zajęła poczesne miejsce, ale twórczynią mistrzowskiej prozy, patriotką ogniskującą w Pradze czeskie życie kulturalne i orędowniczką podniesienia warszaw upośledzonych, których niedole przedstawiała w swoich opowiadaniach. Jej arcydzieło „Babunię” przełożył na język polski Hulka-Laskowski. Książka ta w wytwornym wydaniu ukazała się u nas w r. 1928.

NIERÓZUMIALSTWO I NOWA SZTUKA. Pod tym tytułem „Zycie Warszawy” zamieściło w n-rze 24 dyskusję na ten temat przeprowadzoną przez redaktora A. Grodzkiego z Julianem Przybosiem i Arturem Sandauerem. Mówiono m. in. o Białoszewskim. Sandauer zaopiniował jego ostatni zbiorek w ten sposób: „Zastraszająca jest treściowa bladość tych wierszyków, połączona z zaciemnianiem formy”. Przybos — autor eseju o tym poecie — wyraził się o „Mylnych wzruszeniach”: „Nie sposób nie zgodzić się, że to jest jednak upadek poety”. Dostało się i Jarosławowi M. Rymkiewiczowi za wiersz ogłoszony w „Nowej Kulturze” — „Spinoza był pszczołą”, pozbawiony według Przybosia „wszelkiej wartości i sensu”. Red. Grodzki trafnie ujął niebezpieczeństwo tego rodzaju innowacji: „Jeżeli nawet u takiego poety z prawdziwego zdarzenia, jak Białoszewski, ta nierozumiałość nowatorska dochodzi do pretensjonalnej przesady, to co dopiero w produkcji młodych i najmłodszych. Jakże ogromne jest tu pole dla bluffu, grafomanstwa, belkotu pokrytego pseudonowatorską, nierozumiałą formą”. Résumé tej dyskusji: „Jestem absolutnie za nowatorstwem, ale uzasadnionym względami merytorycznymi, nie zaś stylistycznymi maniera”. (Sandauer).

PASTERNAK NIENZANY. W numerze I „Twórczości” zamieszczono interesujący esej Mieczysława Jastruna pt. „Pieśń i błąd” (o poezji Borysa Pasternaka), tym ciekawszymi, że w dużym stopniu oparty na ostatnim nie znanym nam okresie twórczości tego poety, kiedy dał się on do prostoty

wyrazu i zbliżył się do „tolstojskiego pojmowania chrystianizmu”.

NOWA POEZJA AWANGARDOWA A APOLLINAIRE. W artykule pod tym tytułem, zamieszczonym w n-rze 3 „Zycia Literackiego”, Anatol Stern przeprowadza analizę oddziaływania Apollinaire'a na naszą nową poezję przed- i powojenną i charakteryzuje dwa nurty jej w latach dwudziestych (futuryści z „Nowej Szuki” i poeci „Zwrotnicy” z Peiperem na czele), przedstawia zbieżność i różnicę obu prądów.

SKUSILEM SIĘ NA PRZECZYTANIE „FILIPA” L. Tyrmanda, czego zresztą nie żałuję: fabuła interesująca, ciekawie, choć inaczej niż w „Zaklętych rewirach” Worcestera, bo w innej sytuacji, przedstawione życie kelnerów we frankfurckiej restauracji w latach wojny, dobrze podpatrzone typy hitlerowskie, kapitalna scena uczy weselej odbywającej się w Park-Hotelu z racji ślubu bratanicy min. Funka. Ale przeżycia bohatera pod względem eitycznym pozostawiają wiele do życzenia: mniejsza o kradzieże jedzenia i kartek żywnościowych w restauracji, ale cały jego stosunek do przedmiotu miłości, uczciwej dziewczyny niemieckiej — Helli budzi obrzydzenie. Poza tym mój belferski olówek (to już u mnie obsesja) wynotował z tej powieści, niezależnie od uporczywego umieszczania spójnika „więc” na pierwszym miejscu zdania, takie niebłahe błędy językowe, jak „docekać się na ciebie”, „za mną słyszałem rumor”, „soltysówne”, „w tonie której”, „zakazują to robić”, „zna pan państwo Veldt” czy „pożadałem e wszystkie”. **JAK ROZWIĄZAĆ PLECY?** — pytanie „Przekroju” w n-rze 874 „a propos karnawału”. To zależy od tego, czym i jak są związane. Było to nie był węzeł gordyjski.

-kaj-

Sen szyderycy...

(Dokończenie ze str. 11)

miał bardziej elitarną sztukę przez nią wytworzona. Jeśli cię na to nie będzie stać, będziesz miał taką samą, jak miliony innych.

Ja: Dosyć, dosyć. Wynoś się.
Obudziłem się zlanym zimnym potem i pomyślałem: — A jednak jak to dobrze, że marzeniem dla nas dziś jest zdobyć mieszkanie, że się idzie do Wydziału Finansowego z gestym tłumaczeniem skąd się wzięło pieniądze na samochód, że po ulicach nie

KONKURS

W pierwszych dniach kwietnia br. odbędzie się w Lublinie ogólnopolski Zjazd publicystów kulturalnych i kierowników wojewódzkich wydziałów kultury przy udziale przedstawicieli władz centralnych. Głównym tematem obrad będzie rola środowisk twórczych oraz inteligencji wszelkiego typu w upowszechnieniu kultury.

W związku z Zjazdem „Kamena” ogłasza konkurs pod hasłem

KULTURA W POWIECIE I W GROMADZIE

Celem konkursu jest ujawnienie procesów kulturalnych stosunkowo najmniej znanych, ale nie najmniej ważnych, których terenem są małe miasta i wsie.

Zapraszamy gorąco do udziału w konkursie przedstawicieli inteligencji działających w małych miastach i na wsi — nauczycieli, bibliotekarzy, działaczy kulturalno-oświatowych, pracowników służby zdrowia, agronomów, inżynierów, techników.

Piszcie o wszelkich formach upowszechnienia kultury, jakie uprawiacie lub z jakimi się stykacie, o zespołach amatorskich, świetlicach, klubach, bibliotekach, o waszych kontaktach z teatrem, kinem, telewizją, o osiągnięciach, zainteresowaniach, potrzebach i trudnościach w dziedzinie życia kulturalnego.

Do konkursu dopuszczone są wszelkie formy, a więc reportaże, artykuły, fragmenty pamiętnika, relacje, notatki informacyjne itp. Nie ograniczając w zasadzie rozmiarów, najchętniej widzielibyśmy prace nie przekraczające 5 stron maszynopisu.

Za najciekawsze z nadesłanych prac przyznane będą nagrody:

- I — 1500 zł
- II — 1000 zł
- III — 500 zł

oraz wiele cennych nagród książkowych. Ponadto za prace w całości lub wyjątkach publikowane na łamach „Kamena” wypłacone będzie honorarium autorskie według powszechnie przyjętych stawek. Przewiduje się także możliwość zaproszenia autorów najciekawszych prac na ww. Zjazd.

Skład jury zostanie podany w następnym numerze.

Prace należy nadsyłać pod adresem Redakcji „Kamena” (Lublin, ul. Graniczna 1-c).

Nieprzekraczalny termin nadsyłania: 15 marca rb.



Rzemień w woj. kieleckim — pałac z XIX w.

chodzą roboty i że tam muszę rozwiązywać najbłahsze problemy typu gdzie kupić dobrą żyłkę do golenia. I wreszcie, że moje myśli są moją własnością i się czymś różnią od myśli sąsiada jeżdżącego z mną codziennie do pracy tym samym autobusem. Co za ulga, że mogę myśleć inaczej i nie zgadzać się np. z panem Kisielewskim na temat sztuki abstrakcyjnej, czytając własnymi oczyma jego „Gwoździe w mózgu”. Bo jednak wobec wszel-

kim tendencjom upodobnienia się do bliźniego każdy chce mieć swoją własną sferę indywidualnych przeżyć.

Ktoś mi zarzuci, że się wygaję z dyskusji. Ale naprawdę zaczynam wierzyć, że zanim spełnią się słowa szyderycy, niejedną jeszcze przeżyjemy wojnę. Nie, nie atomową, ale z cyklem prania mózgu. A tych podobno dla skonsolidowania myśli ludzkiej nigdy nie jest dość.

Tadeusz J. Zółciński